



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznej kop. 60, kwartalnie rub. 1 kon. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz półtym lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Cheiwość czytania.

„Bywa fałszywa cheiwość czytania, tak jak fałszywy apetyt, z choroby pochodzący, wielu dlatego tylko czyta, że samli myśleć nie mogą, a więcej jeszcze dlatego, że nie chcą!”

K. Brodziński.

Czytamy i czytamy!...

Czytamy dzienniki, tygodniki, miesięczniki, czytamy powieści, nowele, kroniki, felietony, ogłoszenia, nawet spis nazwisk w hotelach. Czytamy w domu, w restauracyi, cukierni, kawiarni, kasynie, czytelnicy.

Czytają matki, córki, dzieci, czytają ojcowie, synowie, słowem wszyscy i starsi i młodsi.

Zdawałoby się, iż wobec cheiwości czytania pokarm ów słów podawanych wśród liter przynosi prawdziwy chleb, chleb posilający i pokrzepiający.

A jednak wiele to rzeczy czyta się tylko dlatego, iż się pragnie czytania, a nie dlatego, żeby się łaknęło pokarmu zdrowego i pokrzepiającego. Słusznie mówił Brodziński, iż jak jest fałszywy, chorobliwy apetyt do spożywania pokarmów, tak bywa chorobliwa chęć do czytania. Czyż nie znajdujemy, aż nadto wiele dowodów na to?...

Czytamy i czytamy, ale nie stajemy się mądrzejsi w niejednym kierunku, ani nie stajemy się lepsi w niejednym obowiązku.

Czytamy często tylko po to, ażeby znać treść tej lub owej książki i mamy to przeświadczenie, iż świadomość treści ubogaca nasz umysł.

Jak chłopak rozpalony do czytania opisów polowań na słonie lub lwy, cieszy się świadomością tego, iż ów Anglik zamordował kilka okazów, tak my cieszymy się, gdy po przeczytaniu tej lub owej powieści wiemy, iż tylu ludzi było nieszczęśliwych przez miłość, a tyle kobiet znalazło szczęście w samoistnej drodze pracy i obowiązku.

Takie czytanie dla chwytania treści jest zabawką zupełnie taką samą, jaką jest prześiadanie przy szkiełkach fotoplastikonu... gdzie się co tygodnia obrazy zmieniają.

W tej powieści widzimy bohatera we fraku i białych rękawiczkach, w tamtej — w bluzie i fartuchu robotniczym.

W tej noweli bawi nas styl, który robi wrażenie harmonijnych tonów, w tamtej nas zadawalnia zakończenie, które spada, jak niespodziany deszcz na wybranych bez parasoli.

I tak czytając bez wzruszeń, bez rozważań, bez głębszych porównań lub sądów, przechodzimy z książki do książki, jak ze schodów na schody i zdaje się nam, iż postępujemy wyżej i w światlejsze sfery myśl kierujemy.

Czytamy i czytamy, a jednak, jakże mało nas, rozważnie myślących, jak mało nas, kierujących drugich na równe i proste drogi, jak niezmiernie mało nas przy pracach, wyszlachetniających ducha ludzkiego!...

Częstokroć cieszą się matki, iż dzieci ich cheiwie chwytają książki, polykają prawie w okamgnieniu strony, przerzucają kartki, a przytem są niecierpliwe, gniewliwe, chmurne, zleniwione i rozkapryszone.

Czy nie należy zwrócić na to uwagi, iż ta cheiwość czytania jest chorobliwym apetytem i raczej potrzebuje opieki lekarskiej, niż zadość jej czynienia?

Czy cheiwe czytanie wielu książek nie wiedzie do rozfantazywania imaginacyi?

Czy nie wyrwa duszy dziecka za daleko od świata rzeczywistych trudów, braków, obowiązków i tych goryczy, z którymi, bądź co bądź trzeba się zapoznawać, a które w książkach za łatwo bywają słodzone.

Czy nie lepiej uczyć dziecko czytać więcej w samym życiu, niż w jego obrazach?... Po co szukać wyśnionych i wymarzonych obrazów, gdy życie ich tyle dostarcza, tylko trzeba umieć na nie patrzeć!...

Mania czy Zosia rozplacze się nad kartami książki, w której bohaterka cierpi. A czemu ta sama Mania czy Zosia nie roztkliwi się nad losem biednej służącej, z którą się obchodzi nie raz niegrzecznie i dokuczy jej bezlitośnie!...

Dziwna rzecz, jak my jesteśmy ślepo ulegli sile drukowanego słowa, a jednak nie umiemy czytać z kart życia otaczającego nas! Przejdziemy sto razy obok nędzarza, stojącego na rogu ulicy i prawie nie widzimy go. Przejdziemy o nim wzmiankę w kronice gazety,

już nędzarz nam staje w oczach, już go znamy.

Przejdziemy obok gmachu tego lub owego i nie widzimy w nim nic szczególnego. Przejdziemy w jakim artykule wzmiankę o stylu lub o ozdobie tego gmachu, już on staje się w oczach naszych piękniejszy.

Dowód w tem wyraźny, iż czytanie wywiera wpływ.

A jednak dlaczegoż my wobec panującej ogólnie cheiwości czytania nie tępiemy wad naszych, nie zdobywamy cnót, nie wyrrywamy się z mroku, nie potężniejemy moralnie, społecznie i obywatelsko?

Oto dlatego, iż czytamy źle, pobieżnie, gorączkowo, cheiwie, tak, jak nienasycony używają alkoholu, jak rozbawieni używają rozrywek.

My z czytania robimy zabawkę, spoczynek, zabicie nudów, sport modny.

Czytamy bez planu, programu, namysłu, co wicher rzuci, co wiatr przyniesie, co pod rękę wpadnie, co się uda.

Gdybyśmy my nie chwyтали byle czego i nie karmili byle czem naszych wrażeń, toby wielu nie pisało byle czego. A dziś trzeba wypełnić szpalty tylu gazet, wydawać tyle tomów, zarzucić tyle pólek, więc dalejże gonąć i spieszyć co siłą, aby nie brakło niczego, nikomu na czas. Dla ludowych gazet trzeba artykułów tyle i tyle — rosna w lot!...

Dla dzieci trzeba książek tyle i tyle, już są

Dla pięknych wydawnictw salonowych trzeba sensacyi, ubranej w wytworne szaty, już to wszystko gotowe.

Czytamy i czytamy!...

Chorobliwa to cheiwość do prawdziwego światła nie doprowadzi.

Lecz matki powinny czuwać bacznie nad tem, co i ile dzieci czytają, a światło i zacne kobiety polskie powinny trzymać straż nad tem, co się do rąk ludu tak robotniczego, jak i wiejskiego dostaje.

Nie można zezwolić na to, ażeby ci nasi bracia ubożsi byli wyzyskiwani przez lichych handlarzy słowa i zakupywali rzeczy drukowane nie na to, by nieść pokarm, lecz na to, by ściągać grosz.

Gdybyż to ostatecznie kończyło się tylko na stracie materyjalnej! Lecz są gorsze rze-

czy, są wydawnictwa kierowane ku temu, ażeby zastępy ludu znieprawiać moralnie.

W ciemnocie kolebane jednostki łatwo bardzo dadzą się porwać. A chciwość czytania zaspokoi się prędzej namiętnym stylem i treścią drażliwą, aniżeli pogodną, spokojną gawędą.

Potrzeba opieki i czujności.

A jeśli chcemy, ażeby polskie kobiety nad czytaniem mas ludowych strażą stanęły, musimy przedewszystkiem ku temu skłonić umysły tych kobiet, by z lektury powieściowej i nowelistycznej przeszły do czytania dzieł poważniejszych, by psychologię poznały dokładnie, by karty dziejów zrozumiały, by zaś przedewszystkiem nie czytały chorobliwie, chorobliwych rzeczy. Dobre czytanie rozpoczyna się od tego, iż się szuka myśli w treści poznanej, a potem myśl tę obcą, wysnutą z pracy autora samodzielnie rozstrzuwa, rozbiiera, przetrawia i wryje w pamięci jako ubogacenie ducha.

Kto czyta byle czytał, — postępuje jak ten dzieciak, który zbiera kwiecie na łące, ażeby je zaraz rozsypać.

— Czytała pani to?

— Czytałam...

— A tamto?

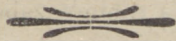
— Czytałam..

Tak można pytać godzinę i dwie... Wszystko czytało biedactwo, a jednak nie ma z tego ani w sercu, ani w rozumie, ani w pamięci.

Czytamy i czytamy...

Starsi, młodszy, dzieci, czytamy chorobliwie, chciwie, łakomie, autorzy dają nam wiele, lecz nie w każdym słowie drukowanym tkwi jasność słoneczna i ziarno prawdy.

Jadwiga z Z. Strokowa.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

VIII.

Pachniało wiosną dokoła...

W Mioduszyńcach, gdzie czasowo na przy-musowem osiedleniu bawiła Bronia Strzałkówna z Jerzykiem, wszystko już mało się świeżą zielenią.

Stary Latosiński, daleki krewny pani Strzałkowej, który prowadził gospodarstwo na tym niedużym kawałku ziemi, pozostałym z obszernego niegdyś majątku posagowego nieboszczki, od świtu już dozorował roboty w polu i za ledwie na południe zaglądał do domu, aby pospiesznie pożywić się czemkolwiek i „sypać“ znowu do swoich zajęć.

Człowiek to był dobry, starej daty, swego chowu, który o Bozym świecie zapomniał w troskach i kłopotach około ziemi; nie ruszał się prawie ze wsi, oddany duszą i ciałem gospodarstwu z zamięłowania i obowiązku, bo chociaż przez większą część

życia orał, siał i zbierał nie dla siebie, ale zawsze dla kogoś, spełniał to jednak z taką gorliwością i przejęciem, jak gdyby za każde ziarno pszenicy, za każdą główkę kapusty brał na swe sumienie osobistą odpowiedzialność.

Rola, bydło, pogoda, służba folwarczna, ceny zboża i t. p. rzeczy stanowiły dla niego wyłączny prawie przedmiot zajęcia, o tem myślał, o tem rozprawiał i tem się głównie troszczył przez rok cały; dzienniki czytywał tylko zimą i to nie bardzo regularnie, a o wielu najważniejszych wydarzeniach dowiadywał się najpewniej ostatni i z naiwnym zdziwieniem powtarzał:

— No, no, no!... co to się dzieje!... co się dzieje!

Ale za to agronomia miała dlań powagę i znaczenie pierwszorzędne; stawiał ją na czele wszystkich nauk, bo jak mówił:

— Ziemia, to nasza żywicielka, to nasza matka, co dzieci swoje karmi; trzeba o nią dbać nieustannie, trzeba ją szanować i wiedzieć, jak się z nią obchodzić, a to nie łatwa sztuka! Dobry gospodarz do końca życia musi się od niej uczyć i dla niej pracować nie tylko w pocie czoła fizycznie, ale i umysłowo, ho, ho!

Tej jego gorliwości i zamięłowaniu do rolnictwa Strzałkówny zawdzięczały, że z niewielkiego stosunkowo folwarku pod umiejętnym zarządem poczciwego „Wujka“, jak go nazywały od dzieciństwa, miały dochody większe, aniżeli z niejednego dużego gospodarstwa.

Latosiński był starym kawalerem, ale bez dziwactw i przyzwyczajęń starokawalerskich; pomimo siódmego krzyżyka, trzymał się czerstwo, zdrowo i krzepko, mówiąc o sobie, że śmierć będzie musiała go wziąć na widły, bo inaczej mu nie poradzi.

Strzałkówny wszystkie trzy kochał, jak własne córki i dbał o ich dobro więcej, niż o swoje; służył im prawie darmo, za łyżkę strawy i ciepły kąpiel, bo nie mając osobistych wydatków, nawet sobie żadnej pensji nie odliczał.

Nie lubił wspominać o tej kwestyi, utrzymując, że sierociński grosz święty, więc się nie godzi uszczuplać go.

— A zresztą — prawil, — na rachunki pomiędzy nami jeszcze jest dosyć czasu; przecież mnie nie wypędzacie od nowego roku.

Z tem wszystkiem, towarzystwo urodzonego hreczkosieja dla młodej dziewczyny na wsi samotnej, nie było ani bardzo zajmujące, ani zabawne.

Biedna Bronia nie wiele też mogła korzystać z obecności Wujka, pod którego opieką zostawiła ją starsza siostra w Mioduszyńcach; nie widywała go po całych dniach, a te krótkie chwile, które z konieczności z nim spędzała, upływały dla obojga dość szablonowo i monotennie.

Z natury małomówny i zajęty swemi myślami, nie wiedział nawet poczciwy Wujek, o czem ma z nią gawędzić; sprawami gospodarskimi nie chciał jej nudzić, bo co to mogło taką „panienkę z miasta“ obchodzić!

Innych tematów zaś nie wiele mu pozostawało do rozmowy.

Poprzestawał tedy na stereotypowych pytaniach:

— No i cóż?... bardzo nudno na wsi?... dobrze się spało?... A możeby kuraczka się zjadło?... Na wsi trzeba mieć apetyt i jeść, chociaż się nie chce, bo na wsi wszystko smaczne i zdrowe.

Pogoda nasuwała mu jeszcze najszerszy wątek do rozmaitych uwag i roztrząsań, ale w usposobieniu, w jakim się Bronia znajdowała od wyjazdu z Warszawy, żaden przedmiot, a zwłaszcza mający związek z barometrem i termometrem, nie wydawał się jej zajmującym i godnym wymiany myśli.

Po owej pamiętnej nocy, w której miała tajemniczą rozmowę sam-na-sam z Sewerką, zapadła jakby w stan duchowego odrętwienia, zobojętniała na wszystko, zamknęła się w sobie i zgasła, jak gwiazdka, przysłonięta chmurą.

Dowiedziała się, że nie wolno jej myśleć o Sokoliku, nie wolno stawać na jego drodze i pętać go w jakikolwiek sposób, bo przed nim inna droga, inne powołanie, bo człowiek taki ze stygmatem wielkości w duszy, nie powinien i nie może wiązać się takimi marnościami, jak głupia miłość podlotka, jak projekta małżeństwa, nawet w najdalszej przyszłości.

Taki Lebicki należy do społeczeństwa, należy do sprawy publicznej, do partyi!...

— Zresztą, wiesz o tem — mówiła jej Sewerka z jakimś dziwnym zapalem i stanowczością, — że dopóki ja żyję, nigdy na to nie pozwolę, abyście się kochali i pobrać mieli. To jest niemożliwe, to się nie stanie ani teraz, ani później, ani nigdy, — rozumiesz?... Nigdy!

Zastaniała sobie oczy i połykała łzy, aby nie wybuchnąć rozpaczliwym płaczem.

— Ty jesteś jeszcze dziecko i nie potrafisz pojąć tego — mówiła, — ale ja mam powody, powody bardzo ważne, które mi każą zerwać was. Ty się o nie nie pytaj, ty mi zawierz na ślepo, zaklinam cię!... Ty nie wiesz, jakie nieszczęście sprowadziłabyś na mnie, na niego, na siebie, na nas wszystkich, gdybyś obstawała przy swoim. Nie, nie, ty mi Broniu przysięgnij na co masz najświętszego, że się go wyrzekniesz i nigdy nawet nie będziesz z nim mówiła o tej miłości.

Podniecona, z historycznym śmiechem zmieniła nagle ton, wołając:

— Miłość, miłość!... co ty głuptasie możesz wiedzieć o miłości!... tobie się zdaje, że go kochasz. Każdy studenciak, który z tobą trochę dłużej porozmawia, zawróci ci tak samo głowę. Zobaczysz, wspomnisz moje słowa, że po tygodniu wywietrzeje ci to wszystko!... Zresztą, kochaj się w kim zechcesz, byle nie w nim!... byle nie w Sokoliku.

Drżąca, blada, wystraszona stała biedna dziewczyna przy łóżku siostry i słuchała tego gwałtownego wylewu jej wymowy z miną skruszonej winowajczyni, nie mogła w pierwszszj chwili ogarnąć tego wszystkiego, nie umiała się połapać, o co właściwie chodzi, co za zbrodnię popełnia, kochając właśnie Edmunda, i jego, który jej wzajemność swoją wyznał, który sam uczucia jej

odgadł pierwszy i dobrowolnie je z nią podzielił.

Zależniona i lawiną wyrzutów zasypana, nie śmiała się odezwać choćby jednym słowem i spytać:

— Dlaczego?... dlaczego mi nie wolno rozporządzać własnym sercem?... dlaczego muszę się go wyrzec koniecznie?

Sewerka mówiła dużo, ale wszystkie jej argumenty nie mogły jakoś trafić do przekonania dziewczęcia; we wszystkim, co słyszała, było coś niejasnego, niedopowiedzianego, przeciw czemu bronila się logika jej serca, we wszystkim tkwiła jakaś tajemnica, nierozwiązana zagadka.

A mimo to z pokorą karconego dziecka poddawała się biernie gwałownemu wpływowi siostry, którą pierwszy raz w życiu widziała w takim stanie rozdrażnienia, tak wzburzoną jakimiś uczuciami nieokreślonymi, które miotaly ją od srogiej rozpacz do najtkliwszej rzewności.

Bronia stała przed nią z główką spuszczoną, z rękoma splecionymi, z oczyma wpatrzonymi w pustą przestrzeń i na całą swoją obronę miała tylko duże, ciche łzy, spływające z jej długich rzęsów powoli, ciężko, ale nieustannie.

Przez cały czas zdobyła się jedynie na odwagę wypowiedzieć nieśmiało tych kilka słów:

-- Ależ przecie... przecie ja nie złego nie zrobiłam...

— Tak, nie zrobiłaś — przerwała jej Sewerka porywczco, — nie zrobiłaś, lecz zrobić możesz!... Kto ci pozwolił za moimi plecami zawiązywać jakieś romanse?... jak śmiałaś bez mojej wiedzy mieć konszachty z Le-bickim? Czyż zapomniałaś, że ja ci teraz matkę zastępuję?...

I na ten temat zaczęła obsypywać ją wyrzutami, jak gdyby rzeczywiście dopuściła się czegoś karygodnego i nadużyła zaufania swej opiekunki.

Za młodą była, za mało doświadczoną biedna dziewczyna, aby nabrać jakiegokolwiek podejrzenia i dostrzedz właściwy powód tego niespodziewanego wybuchu, za słabą jeszcze, aby podjąć walkę ciężką, nierówną i ryzykowną w imię praw kochającego serca, które ani przeczuwało, iż na progu życia los zgotował jej tak tragiczną kolizję i uczynił ją rywalką własnej siostry.

Musiała poddać się i z pokorą przyjąć wyrok.

— Wyjedziemy zaraz jutro — rozporządziła Sewerka, — odwiozę cię na wieś i zostaniesz tam póty, dopóki nie pozwolę ci powrócić!

Jakieś instynktowne, bezwiedne okrucieństwo kobiety zazdrosnej obudziło się w niej i zaślepiło ją bez litości.

Nie widziała nawet jak strasznie znęca się nad swą ofiarą, nad istotą sobie najbliższą, jaki cios zadaje temu młodemu sercu, pogwałcając jego uczucia, jego pierwsze, wiosniane porywy.

Myślała tylko o tem, że ta dziewczyna jest dla niej niebezpieczną współzawodniczką i że usunąć je musi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do B. M.

(W odpowiedzi na wezwanie: „Idźmy i pracujmy razem“).



Czemuś nie przyszedł do mnie w mej młodości wiosnie?

Skrzydła miałam u ramion, prężne do błękitu,
Serce — co zarem wewnętrznym w Moc ognistą
[rośnie

I usta, uśmiechnięte do życia radośnie —
I wzrok — w światło wpatrzony, co bije od

[Szczytu,—

Ciszą bylam, pogodą i rozbłyskiem świtu...
Czemuś nie przyszedł do mnie w mej młodo-
[ści wiosnie?

Czemuś nie przyszedł do mnie w życia mego lato?

Jasny uśmiech młodości zgasila mi dola,
Lecz duszę miałam zbrojną, dłoń — siewem
[bogata

I wierzyłam, że Jutro prac wiernych zapłata —
Szlibyśmy razem, Bracie, chociaż grudna rola!
Do celu-by nas niosły nie skrzydła, lecz —
[Wola...

Czemuś nie przyszedł do mnie w życia mego
[lato?

Czemuś nie przyszedł do mnie w odwiecznej jesieni?

Skrzydła miałam zbarczone i znużoną duszę,
Lecz wiedziałam, że Ziarno puści od korzeni
(—A jeśli prawdy ziarnem, nikt go nie wy-
[pleni! —)

I że nawet samotna lub rzucona w głuszę,
Jak żołnierz na placówce, stać — i dostać — mu-
[szą!

Czemuś nie przyszedł do mnie w odwiecznej
[jesieni?

A teraz już — zapóźno... Teraz — zimy pora...

Uśmiechów... światła... niema ni dla mnie, ni
[we mnie...

Doświętych ruchów siewnych dłoń dzisiaj nie
[skora —

Twórczym rzutem już wola nie zrywa się cho-
[ra...

Wzywasz mnie: „Idźmy razem...“ — lecz wzy-
[wasz daremnie —

Ja odchodzę już, Bracie... w Zagadkę... i w Cie-
[mnię...

Iść nam razem zapóźno... Teraz zimy pora.

T. Prażmowska.

Warszawa, 1907.



MATKI-DYLETANTKI.

Referat Konstancyi Łozińskiej.

odezycany na Zjeździe Kobiet polskich.

(SEKCYA OGÓLNO-OŚWIATOWA).



Walcząc z różnorodnymi przesądami, ciążącymi na losie kobiety i na tych cegiełkach z których ten los budują życzliwe, a jednocześnie wrogie ręce rodziców i wychowawców — musimy główny nacisk położyć na to absolutne nierachowanie się z indywidualnością poszczególnych jednostek. Przyczyna tego leży w pojęciu prawa natury, która, jakoby, stworzywszy kobietę, wypisała jednocześnie wyrok na jej przeznaczenie. „Kobieta i matka“ te dwa wyrazy stanowią całość w obliczu natury, ale mało komu przychodzi na myśl, że jest ono zagadkowym, jak oblicze sfinksa, że gdyby jednak natura mogła zrozumiałym dla nas językiem przemówić — musiałaby się obronić od pozornych niekonsekwencji i odeprzeć te zarzuty. Natura, uposażając rozmaicie jednostki kobiece i to samo wskazuje, że takie zdanie, jak, że kobieta stworzona jest na matkę — musi być stosowane z zastrzeżeniem. A zastrzeżenie to brzmieć powinno: „Kobieta wtedy ma prawo i może być matką, jeśli jej indywidualność potrafi pogodzić się z obowiązkami, które są następstwem tego fizjologicznego faktu“.

Mam tu na myśli „moralne uzdolnienie“ kobiety, jej właściwości psychiczne i umysłowe, cały zasób strony duchowej, tak różny w każdej kobiecie. Dziewczyna, która pod wpływem erotycznego popędu marzy o małżeństwie, widzi w niem jedynie sposób, środek do zadowolenia tego popędu, a w marnościach swych nie potrafi nawet o macierzyństwo — celem jej nie ten ostateczny wynik pożycia — dziecko (choć Szopenhauer utrzymuje, że bezwiednie myśli o niem, lecz stoi tu na gruncie tylko wyłącznie fizjologicznym), ale jedynie zadowolenie świadomych lub nieświadomych potrzeb nerwów i zmysłów. Dziewczyna taka może być dobrą żoną, kochanką, ale niekoniecznie dobrą matką, gorzej, może być złą matką, jeśli w jej indywidualności nie znajdują się pierwiastki duchowe, któreby to trudne zadanie wychowawczyń na właściwe tory popchnęły. Przy najlepszych nawet chęciach nie potrafi wychować człowieka, tak, jak artysta bez talentu przy najusilniejszej pracy nie stworzy nic więcej, ponad mierność. Można bowiem mieć nawet pewne wiadomości z jakiejś dziedziny, a mimo to pozostać w niej dyletantem tylko. Jeśli zaś szkodziwym jest dyletantyzm w sztuce i nauce o ileż zgubniejszym bywa tam, gdzie chodzi o danie społeczeństwu człowieka. Rozzejrzyjmy się wśród rodzin, a przyznać będziemy musieli, że dyletantyzm króluje tu wszechwładnie, nie mówiąc o ciemnocie, która mu dzielnie sekunduje. Łatwiej jednak walczyć z tą ostatnią, tak jak wiemy, że łatwiej analfabetę nauczyć czytać, aniżeli grafomana przekonać o jego bezcelo-

wem bazgraniu. Nie wątpię, że Sz. słuchaczki i słuchacze, niektórzy przynajmniej, uśmiechną się na wyrazy „uzdolnienie i powołanie do macierzyństwa,” ale nie zrażam się i podkreślam silnie, że niezbędnymi one są w zawodzie matki. Powie ktoś może, że dawniej prababki nasze nie rezonowały na temat szczęścia i obowiązków małżeńskich i było lepiej. Komu? zapytam, i czy rzeczywiście lepiej? Gdybyśmy mogli zapytać te nasze matrony z portretów, nierzadko będące babkami już w latach 30, czy były szczęśliwe, może odpowiedź nie brzmiałaby tak zadawalniająco, jak to wyobrażają sobie zwolennicy przeszłości i tradycji, zwłaszcza w sferze małżeństwa. A czy rzeczywiście owe stadła wydawały zawsze zdrowe moralnie potomstwo? Nie brakło nigdy synów i córek marnotrawnych, nie brakło ofiar cichych i głośnych, gdyby wówczas każda matka była doskonałą, lub przynajmniej tylko dobrą wychowawczynią — nie mielibyśmy może słabych lub upadłych synów, nie mielibyśmy smutnych kart historii i Targowicy w różnych epokach. Nie w indywidualizmie dzisiejszym leży zło, tak, jak nie dlatego ślepym byłby ten, komu powiedziano, że są inni, którzy mają wzrok i dar widzenia... Ślepym był przedtem i ślepym pozostał — tylko z samowiedzą.

W czym więc leży to zło? W tem, że *małżeństwo uważane jest z jednej strony jako zawód kobiety, z drugiej zaś, że nikt nie każe jej wejść w siebie i zastanowić się, czy ma powołanie do tego zawodu.* W życiu mężczyzny ożenienie się stanowi tylko dopełnienie — w życiu kobiety — *zamażpójście* — i cel i zawód i jedyne szczęście. Mężczyzna pojmując doniosłość tego faktu, kobieta zaś zna tylko powierzchowną jego stronę, bawi ją zmiana stanowiska, tak, jak bawi ją i cieszy pierwsza długa sukienka. Każda dziewczyna, choćby bardzo umiarkowanie zamożnej rodziny, musi umieć mówić po francusku i brzdąkać na fortepianie, ale w rękach żadnej nie spotkamy pedagogii, ani higieny, a jeśli coś nie coś, jakąś bajeczkę o higienie w szkołach wykładają, to ona ma się tak do prawdziwej wiedzy, jak grudka piasku do kuli ziemskiej. Matka, nie krępując się, będzie mówiła przy córce o flircie sąsiadki lub przyjaciółki, o tem, że kucharka Marysia ma kawalera, ale za żadne skarby świata nie powie jej nic o jej przyszłych dzieciach, a uświadomienie pozostawia się nauczycielom, lub służbie i koleżankom. Dziewczynka uczy się wciąż zapatrywać na ten przedmiot, jako na coś, o czym ani mówić, ani myśleć się nie powinno. I zamiast mówić i myśleć poważnie, szuka podniety w tym przedmiocie, a w rezultacie kończy się na tem, że „nie znając celu, pragnie środków do niego wiodących.”

Dziewczynka dochodząc do lat, gdy zaczyna pojmować życie, słyszy takie słowa: jak dorośniesz, wyjdiesz za męża, będziesz miała swój dom, gospodarstwo, męża i t. d., przyzwyczajenie jednak zabrania dodać: „będziesz miała dzieci.”

To byłoby niemoralne i nieprzyzwoite, bo moralniej jest myśleć o małżeństwie, jako o karierze, lub jako o furtce wiodącej do

owej „miłości,” którą się zna z romansów, aniżeli o ciężkim zadaniu, posłannictwie, jakim jest macierzyństwo. Dziewczynce o jej przyszłych dzieciach nie mówi matka, bo to nieprzyzwoite, lecz szepcą nieraz brudne usta służki, kompletują te wiadomości, które się przeżuwa potem w rozmowach pokątnych z koleżankami.

Rosnąc, dziewczynka słyszy wciąż, że te tylko kobiety są szczęśliwe i normalne, które wyszły za męża.

Wyraz współczucia towarzyszy słowom: „biedna Mania, Frania, zostaną staremi pannami.”

Dziewczynka notuje to skrętnie w świeżej pamięci i staropanieństwo powiększa liczbę zabobonnych strachów i widziadeł.

W rezultacie, panna, u której rozigrają się naturalne popędy (a rozegrać się muszą, bo wszystko składa się na to: bezmyślność, ba, owa świadomość, że się jest towarem do zbycia), nie pyta siebie co dalej, czy sprosta obowiązkowi matki, które spadną na nią, ale wychodzi za męża li tylko dla samego faktu i to, co jest posłannictwem staje się złem koniecznym, od którego następnie starać się będzie uchronić i tym sposobem powiększy liczbę hysteryczek. Chłopca, gdy wybiera sobie zawód, pytają czemu chciał być — i nikt się nie dziwi, gdy zamiast medycyny, od której odpycha go ustrój nerwowy, wybiera zawód inny.

Ale kobieta każda *powinna posiadać zdolności pedagogiczne, musi mieć eierpliwość.* Lepiej ażeby na 10 panien, 4 tylko wyszło za męża, z całą świadomością czego się podejmują, aniżeli tworzyły te dziesiątki sparaliżowanych ognisk rodzinnych, w których ani ciepła, ani zdrowia nie znajdzie. Statystyka wykazuje liczebną mniejszość mężczyzn, a więc pewien procent kobiet musi zostać staremi pannami, sama natura zatem chce tego, czy nie normalniej będzie, gdy te tylko założą rodzinę, które uczują prawdziwe ku temu powołanie?

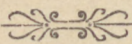
W uświadomieniu więc, w badaniu siebie, poznaniu własnych instynktów i zasobu umysłu, leży odrodzenie kobiety-matki. I nie obrzucajmy śmiesznością tych, które czując, że nie potrafią spełnić tego obowiązku, zostaną w celibacie, nie śmiejemy się przecie z tych, które nie zostały Siostrami Miłosierdzia lub lekarzami, ale wolały np. zająć się szyciem, gdyż uczciwiej jest szyć dobrze, aniżeli leczyć marnie, zawód zaś wychowawczyni nie jest lżejszym, ani dostępniejszym wcale. *Można być kobietą-człowiekiem, nie będąc jednak kobietą-matką.* Nie wmawiajmy w nią, że po za kołyską i mężem nie ma dla niej zawodu i celu! Nie wmawiajmy też w siebie, dla wytłómaczenia własnych słabości i umotywowania życia i nadużycia, że celibat przysparza ofiar, tak w znaczeniu fizyologicznym, jak i moralnym, a gdyby nawet wziąć to za pewnik, to jeszcze lepiej, aby jednostka padła ofiarą niezaspokojonych potrzeb, aniżeli, aby, wydając na świat potomstwo, którego w następstwie wychować nie potrafi — powiększała tem samem liczbę chybionych istnień. Tolstoj utrzymuje, że w pierw nim przewroty polityczne przeprowadzać, należy zacząć

od reformy rodziny i określenia jasno jej obowiązków. Zdaje mi się, że słusznie mówi, gdyż chcąc zreformować dany ustrój społeczny, należy odpowiednio przygotować ludzi, a czyjemże to jest zadaniem przede wszystkim, jeśli nie rodziny? Kto zarysuje całość charakteru dziecka — potem człowieka, jeśli nie dom.

Może, gdybyśmy mieli to idealne na papierze t. j. w teorii wychowanie publiczne dziecka — może wówczas obowiązki matki zeszyłyby li tylko do funkcji fizyologicznych — *nie obchodziłaby nas wtedy dusza kobiety.* Nie należy lękać się, żeby takie postawienie kwestyi wpłynęło na ograniczenie chęci do małżeństwa — nie, nie zabije to wrodzonych instynktów kobiety, ale zmusi, każe jej myśleć, a to już bardzo wiele. Nauczy przytem, jak trzeba rozumieć obowiązki wychowawczyni, zniesie to mnóstwo formulek, które, jak kajdany zakuwają w jarzmo kobietę, w przekonaniu, że wywiązanie się sumienne i rozumne leży w tem rzekomem niewolnictwie kobiety zameżnej i matki. Nie będzie niewoli, a więc nie będzie i swawoli to jest chęci wyłamania się z niej *coute que coute!* Dziewczyna przygotowana do życia, potrafi je tak sobie ułożyć, aby się znalazło miejsce nie tylko dla pieluszek, pieszczot, wpływających z naturalnej miłości macierzyńskiej, ale znajdzie miejsce i na własne potrzeby ducha, na życie nie tylko fizyologiczne, lecz i umysłowe. Mężowie zaś przestaną widzieć w dziecku *sojusznika w przykuciu kobiety do ogniska*, tak, jak teraz rzecz się ma i tak pospolicie! Nie rzadko bowiem słyszy się z ust mężczyzny takie zdanie: „aby kobieta była zależną od męża i nie mogła go porzucić, niech będzie matką jaknajczęściej.”

Kobieta, wychodząc za męża, powinna również umieć siebie zapytać, czy dziecko, które z niej przyjdzie na świat, nie przyniesie z sobą zarodku jakiej choroby ciała lub ducha. Powinna znać swoje wady i patrzeć na nie trzeźwo, wiedząc, że nie wolno jej samej żyć z niemi, *nie wolno ze świadomością przekazywać ich potomkom.* Tak, jak już oddawna wiemy, że z suchotnic rodzą się chore dzieci, a jednak prawo patrzy obojętnie na zbrodnię, jaką się popełnia w ten sposób. Jestem pewna, że kobieta obeznaną z higieną i fizyologią nie popełni tej zbrodni nigdy. Toż samo potwórzy się i przy specjalnych wadach charakteru. Na to jednak trzeba *znać siebie* i na małżeństwo zapatrywać się, nie jako na romans lub rzekomą swobodę. Tylko te kobiety będą dobre matkami, które z całą świadomością bezwzględną, z koniecznym przygotowaniem i wrodzonym uzdolnieniem założą rodzinę. Te wreszcie, które na wyraz „dziecko“ ze wstydu rumienić się nie będą, ale te, które ze szczęścia zarumienią się, gdy ono przyjdzie na świat. A obecnie pytam, czy dużo znajdzie się kobiet dziękujących losowi za dziecię? Ileż młodych mężatek szepce sobie na ucho przestrogi i dzieli się obawami przed tem, co szczęściem i dumą serce kobiety napełniać powinno. A dlaczego tak jest? Bo szły za męża, lękając się widma staropanieństwa, bo pragnęły mieć cel w ży-

ciu, na inny zaś (nie mogły sobie pozwolić), nie stać je było. Dopóki kobieta nie po trafi sama siebie zapytać, czy sprosta powołaniu matki, dopóki nie przestanie patrzeć na małżeństwo, jako na karierę lub romans — dopóty nie pozbedziemy się dyletantyzmu w życiu rodzinnym, a z nim mnóstwa cichych dramatów i ofiar niewinnych.



Twórczość kobieca.

IV.

Eugenia Żmijewska: „Płomyk.“ *) Gebethner i Wolff. Warszawa, 1907.



Pustka zimy, długie wieczory, przeżywane napięciem nerwów, huk stały, dokuczliwy wielkomięskiego ruchu budzą pragnienia szerszego oddechu, zapachu kwiatów, łąk zielonych, przepelnionych słońcem. Człowiek może ich szukać lub nie — ale ich łaknie. A kiedy znajdzie się sam, wolny, wśród podmuchów wiatru wiosennego, kiedy wzrok jego z rozkoszą wypoczywa na plamach zielonych lasów, kiedy fale jasnych, zielonych traw kładą mu się dywanem miękkim pod nogi — dokonywa się w sercu czarujące pojednanie między człowiekiem-synem marnotrawnym i matką-przyrodą. Złoty promień słońca dociera przez siatkówkę żrenic w głąb świadomości, nie tylko jako wrażenie, ale także jako ciepłe, serdeczne uczucie. Piękność i nieokreślona lepszość owładają myślami i sercem — zdarty kłęb nerwów układa się cicho do chwilowej, pokrzepiającej drzemki.

Wiosenny czar wślizguje się zniemacka w duszę ludzką.

Dawno zapomniane echo pieśni szczęśliwej, która każdemu gra w zakątkach duszy, a którą życie powoli i konsekwentnie morduje i tłumi — poczynają grać na nowo. I budzi się wówczas tęsknota za ścieżką własną cudu, wijącą się pośród tafli rozkołysanych kwiatów, ziół i zbóż, napełnioną po brzegi potopem słonecznym, za ścieżką, którą idzie się od kakofonii życia ku widnokręgom harmonii i piękna czystego...

* * *

*) Trzecią część „Płomyka“ będzie drukować „Bluszcz“ w r. p.

„Płomyk“ p. Eugenii Żmijewskiej jest pięknym kwiatem wiosennym. Utwór ten powstał nie jako zwykła potrzeba wypowiedzenia się, lecz przedewszystkiem jako wyraz serca i prostej, serdecznej spowiedzi. W opowieści „Płomyka“ pomieszały się ze sobą cechy przemyślanego tworu i mimowolnego odruchu twórczego.

W założeniu, ujęciu i prowadzeniu jest to pamiętnik, z którego przemawia bezpośrednio, są to karty z życia... naprawdę przeżytego — wspomnienia chwil dawno przebrzmiałych, które refleksya powołała ponownie do życia.

Do tej refleksji, do tych wspomnień osobistych wmixowała się artystyczna dążność stworzenia obiektywnego obrazu. Pod słowa, myśli i uczucia własnego „ja“ podsunęła wyobrażenia zarysy twórczej kreacji i tak powstała postać pięknej Doli.

Aliaż dokonany został szczęśliwie. Zdarza się w podobnych wypadkach, że subiektywność autorska rozsądza sztuczną powłokę obiektywną i miasto prostego, bezpretensjonalnego pamiętnika, czytamy powieść, poszarpaną niezgodnością materyału.

W „Płomyku“ szczęśliwy zbieg okoliczności, zdolność autorki powstrzymania się w sam czas, aby nie powiedzieć za dużo, istotna, uderzająca w prowadzeniu motywu ostrożność, która chroniła pióro od rozlewności — dały łącznie całość zajmującą w treści i chwytającą za serce swą stroną uczuciową.

„Płomyk“ jest utworem podwójnie ciekawym. Po pierwsze jest on dokumentem nie tak dawnych, jeszcze stosunków w szkolnictwie Królestwa Polskiego, dokumentem poniekąd historycznym — z drugiej strony jest żywym protestem przeciw fałszywym pojęciom pedagogicznym, obowiązującym, niestety, jeszcze do dziś dnia w wychowaniu naszych panien.

Krytyka pierwszego, „szkolnego“ motywu, jak i drugiego, życiowego, wypowiada się w utworze p. Żmijewskiej nie bezpośrednio, nie za pomocą recitatywów moralizatorskich lub apostrofów górnych, ale wtłoczona została w rozwijającą się treść opowieści. Nie przemawia ona do naszej umysłowości w sposób narzucający się, bezwzględnie twierdzący, a tem samem indywidualność czytelnika krępujący, lecz przeciwnie wynika mimowoli sama z treści, jest kanwą, na której spostrzegawczość czytelnika wyszywa deseń sceptyzmu, oburzenia, litości lub wzgardy.

I dlatego ta prosta powieść o złotowłosej Doli ma intensywność wdzierania się nie do uwagi, jak zwykle krytycznie usposobionej, ale wprost do uczucia.

Dola opuściła wcześniej Instytut Aleksandryjski, zanim zmieniono w nim zupełnie system wychowawczy. Uniknęła tych ciosów psychicznych, które w jej młodem, rwącym się do życia sercu, mogłyby wyręć bolesne blizny. I nie dowiedzielibyśmy się o tem, jaki obrót przybrały stosunki w owym zakładzie szkolnym, jak wywrócone zostały doszczętnie wszelkie podstawy pedagogiczne wychowania dziewcząt, gdyby nie przejmujące i hańbiące listy jej koleżanki Zapolskiej.

Autorka w sposób miążdzący i bolesny zademonstrowała przed nami proces psychiczny, który mógł dokonać się w duszy ślicznej Doli,

a który na jej szczęście dokonał się w duszy jej przyjaciółki.

Srom pogwałconej godności kobiecej bije z tych kilku listów dziewczyny polskiej — srom nie przez nią odczuwany, ale przez nas, którzy je czytamy...

W tem tkwi siła owych listów.

Ale jak powiedziałem, opowieść „Płomyka“ jest zarazem protestem przeciw przestarzałemu szablonowi wychowania naszych panien.

Dola w ciągu najpiękniejszych lat życia swojego, bo lat przekształcania się z zielonego pączka w barwny kwiat, z dziecka w czarującą pannę, przechodzi *obok błota*, nie upadając w nie, ale nie dlatego nie upadając, że go świadomie umie unikać, lecz tylko dlatego, że ją przypadek ocala.

Odczuwamy tragedję jej położenia — tragedję zasnutą przed jej oczyma mirażami uczuciowości, gorącej krwi, bujnej siły dziewiczej, rwącej się do życia natury, tragedję jednak niemniej istotną, bo wciąż na jej piękne ciało czyhającą.

Rozumiemy, że ta młoda latorośl jest kandydatką do pierwszego lepszego wyzysku, bo krew i temperament gotowe jej każdej chwili podsunąć pod pragnienie zmysłów tysiączne, najczarowniejsze słowa i wzruszenia, jakimi głód miłości rozporządza, a która przebudzić się może dopiero wówczas, kiedy już będzie zapóźno...

Ileż takich młodych, rwących się do życia siłą instynktu dziewcząt upada z powodu braku prostego uświadomienia?

Czyż system podobnego wychowania, jaki do dziś dnia praktykuje się w wielu domach, system wyłączający z rozmów między dzieckiem a jego rodzicami kwestję „miłości“, jej praw naturalnych i jej konsekwencji — nie jest zbrodnią popełnianą przez rodziców na ich własnym potomstwie?

Podobne refleksje budzą się w czytelniku, kiedy czyta zajmującą opowieść „Płomyka.“

— „Co za czar w tobie“ — mówił do Doli — i mówił jeszcze: „Takiej drugiej na świecie niema.“ A mówiąc to całował, całował. Mnie tchu brakło, nie tylko dlatego, że mi usta ustami swemi zamykał, ale i ze szczęścia. Dławiło mnie w gardle, drżały mi nogi, ale on nie dał mi upaść, trzymał w objęciach mocno. Czułam na twarzy delikatne muskanie wąsów, i te usta... Biegały po mnie jak płomyki, zapalały pożar.

„Chwilami nie miałam już siły całować a chciałam jeszcze i jeszcze. On nie mógł się mną nasycić, pochłaniał mnie, kąsał prawie. Ale i jemu czasem sił brakło, ale wtedy całował jeszcze mocniej, jeszcze mocniej... brał moje życie, a dawał mi takie szczęście, że aż bolało. Zamykałam oczy w upojeniu, w oczekiwaniu na szczęście jeszcze większe, jakieś nieznanne — przeczuwałam, że ono istnieje, pragnęłam go i bałam się!..“

W słowa proste, z niezwykłą siłą dobrane, oddające doskonale język młodej, instynktowej namiętności, która gotowa była do „nieznanego“ czynu, mogącego stać się następnie hańbą dziewczęcia — zamknęła autorka realistyczną prawdę nie tylko objawu fizjologicznego miłości, ale również samego faktu jako

demonstracji śliskiej pochyłości, po której mogło się stoczyć w błoto nieświadomione, młode dziewczę.

Od pretensjonalności, od moralizatorstwa uchroniła autorkę miara artystyczna, z jaką prowadziła swój temat, i dobór przypadkowy czy też celowy środków ku temu użytych.

Jej młoda dziewczyna, wykwitająca w ogrodzie życia jak narcyz odurzający, ma tyle barw wiosennych, ma taki czar uroku młodości, ma tyle prostego, naturalnego pragnienia miłości, i ma do niej tak wielkie i święte prawo — że chwyta za serce jak promień jasny, słoneczny.

Czar wiosny życia bije z opowieści o dziejach „Płomyka“ i budzi w nas echa owej pieśni szczęścia grającej w zakątkach duszy.

D r Tadeusz Konczyński.



Marya Czesława Przewóska.

ELLEN KEY

w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego.

ORAZ

REFORMY WYCHOWAWCZEJ.

Zarys syntetyczny.



(Ciąg dalszy).

Zreformować, czyli odrodzić życie, może tylko odrodzony człowiek, człowiek — dostojny. Jego dzieło reformy będzie trwałe, wieleć on bowiem będzie w życie wiekowiec postępową zasadę: „Homo homini res sacra,“ kładąc kres kulturze zdziczenia, w której człowiek względem człowieka jest tygrysem i wilkiem.

Będzie to zarazem kres kulturze poganizmu, przeżerającego świat człowieka po XIX-tu wiekach bytowania *po nad* życiem społeczeństw nowożytnych wielkich idei Chrystusowych. Już wielki czas *wcielenia się* w życie. Odrodzenie moralne społeczeństw to pierwsza troska racjonalnego postępu, odrodzenie na gruncie idei chrześcijańskiej, to już postulat ducha czasu.

W czasach ostatnich ten duch kultury naszej przejawia się bardzo wybitnie w postulatach *chrześcijańskiego odrodzenia* i ze strony plejady twórców najnowszej Francji, którzy głoszą, iż „oto przyszły czas, że nie na Akropolu modlić się będziemy i szukać natchnień. Zadaniem sztuki jest wznieść dusze do Boga, bowiem Stworzyciel jest największym Artystą, najdoskonalszym, skończonym.“

„Znaleźliśmy Ciebie—woła Maurycy Pujo.— Zwyciężyłeś ucisk serc naszych, a światło Twoje rozjaśniając nasze zamglone oczy, dozwala nam widzieć wszystko dokoła siebie i w sobie inaczej, jaśniej, prawdziwiej.“

Bożyszcze lat minionych: *wiedza* i *wiara* ustępuje miejsca hasłu: *sztuka* i *wiara*. „Wojsko Artystów i Bohaterów wstępuje do jasnego nieba.“

Analiza naukowa rozkruszyła dusze ludzkie na atomy; oddychamy, wołają ci „najmłod-

si,“ kurzawą faktów rozdrobnionych, wywołujących myśli tak zabójcze, jak mikroby. Tłumy bezmyślne wyprowadziły z tej nauki wnioski brutalne. Rezultatem tego literackim był naturalizm, sceptycyzm i dyletantyzm, rezultatem moralnym — brak woli; politycznym — rozpetanie wszystkich żądz, anarchia! Jedynie posłuch Dobrej Nowinie może świat wyrwać z odmetów zwyrodnienia. To credo Francji *nowej*.

Zwrot zaiste znamieny i godny bacznej uwagi. Reforma obyczajów, reforma życia na całej linii, to wymagalnik, który dziś w usta poety-entuzjasty a syna ziemi, na której wyrósł Babilon nowoczesny, wkłada takie słowa:

„Sois chaste sans rougir— garde tes lèvres pures
Pour la vierge au front blanc qui sera tienne un jour.“

G. Féry.

Sztandar moralnego odrodzenia, jako sztandar „Białego rycerstwa,“ ślubującego dziś czystość obyczajów, ujęła już szczęśliwie i nasza młodzież pod pięknym hasłem: „Zerwie z Polski wieko trumny Eleatów jasny ród.“

Fundamenty nowej Polski tkwią bezwzględnie w odrodzeniu moralnym narodu, w zrealizowaniu tej wiekowej zasady Słowackiego, że kiedy prawy Polak do czynu powstanie, to świat posłyszyci odeń „same wielkie hasła,“ a „zwierzęcego“ nie będzie w nich krzyku.

Wielkie zadanie przygotowawcze ma tu do wypełnienia szkoła polska. Szkoła ufundowana na podstawach ojcowskiego stosunku wychowawców do młodych Polaków, oparte na fundamentach kultury narodowej, opromieniona opieką wielkich świętych ojców ołtarza, stojąca kultem czei względem wszystkiego co święte i wielkie.

Nasza szkoła przyszłości musi być mistrzynią dróg praktycznych życia w szerokim, obywatelskim znaczeniu. Metody wychowawcze, przy systemie ścisłego związku szkoły z życiem, dać nam powinny pokolenie, tak wyrobione indywidualnie, aby już u progu samoistnych kroków swych po labirytach życia, nie było ono zbiorowiskiem pionków martwych, dowolnie kierowanych dłońmi obcych duchowi swemu dążeń. Dom musi tu podać rękę pomocną szkole, i odwrotnie.

Na stanowisku reformatora społecznego taki wychowaniec szkoły postępowej polskiej zdawać sobie będzie sprawę z tego, na czym polega zasadniczo idea zmiany na lepsze. Występując do walki z nędzą materialną, nie pominiemy z uwagi *równorzędnej* walki, w granicach możliwości, z nędzą moralną, wykwitającą bujnym chwastem na gruncie wszechwsteczniczych ustosunkowań życia społeczno-jednostkowego. Niemasz i być nie może reformy życia *na metę przyszłości*, bez reformy człowieka na miarę stawianego przez niego ideału.

Zasadzie tej hołduje w pewnej mierze i Ellena Key, stawiając wymagalnik reformowania środowiska ludzkiego życia, popełnia przecież błąd, na równi z wielu reformatorami głównie ekonomicznych stosunków, stronę rzeczy *moralną* odsuwając na plan dalszy, nie biorąc w rachubę tego, że strona materialna i moralna reformy muszą być uwzględnione *równorzędnie*, inaczej bowiem jest to

tylko wytwarzanie błędnego koła bez wyjścia.

Wielka nasza pisarka, Eliza Orzeszkowa, której wspaniała praca twórcza obraca się w sferze wysokich syntez dobra powszechnego, staje na stanowisku najgenialniejszych świata, dążąc do wysokiego ideału przetransponowania duszy ludzkiej *na wyższy ton moralny*, uważając to za nieuniknioną reformę życia, za miarę przyszłości. Jest to najmniej dotychczas uwzględniana przez reformatorów świata strona reformy od podstaw, od wewnętrznego jądra, nie zaś od peryferyi skrupy zewnętrznej.

A tymczasem nie na tej osi obracały się i obracają dotychczas dążenia ludzkie ku lepszemu, przeto rezultaty najgwałtowniejszych przewrotów rewolucyjnych, są zazwyczaj tak mało proporcjonalne do swych założeń.

„Na firmamencie niebieskim — mówi Orzeszkowa, — zmieściłby się chyba opis dobrodziejstw, które dotychczasowi panowie świata obdarzyli dziedziny jego fizycznie i umysłowo. Wiekami trudów nieopisanych, przez pokolenia niezliczone, zdołali oni otworzyć przed ludzkością źródła dobrobytu, wiedzy, estetyki. *Ale jeśli zechcemy odwrócić medal na stronę odwrotną, na której znajduje się moralność, czyli sprawiedliwość, dobroć, miłość, ofiarność, współczucie, współpomoc, z łatwością przyjdzie do wniosku, że wszystkie dotychczasowe zalety w tym kierunku doprowadziły świat do wyniku bardzo mizernego.* Były jednak zalety liczne, różnorodne, ważne, pracowały dla tego celu religie i filozofie, umierali dla niego ludzie na stosach, krzyżach, szubienicach, wytworzyły się na rzecz jego kodeksy praw i obowiązków; nauczano go ze szczytów gór, z kazalnicy, z katedr, po miastach i po pustyniach. I cóż? Przed wielu już wiekami brzmiał okrzyk: „Homo homini res sacra,“ a nasz wiek, z pomiędzy bogatych w wykwinoty i wynalazki najbogatszy, dogorywa (moralnie) z jednym chóralnym okrzykiem: „Homo homini lupus!“ Jak okiem zatoczył świat cywilizowany przedstawia jeden taniec przed cielec materii, jeden obóz uzbrojonych przeciw sobie wzajem jednostek i narodów. Każdy przeciw każdemu, wszyscy przeciw wszystkim! W stosunkach społecznych — zbytek i nędza, wyzysk i krzywda, w stosunkach międzynarodowych — miliony paszcz ognistych wzajem ku sobie najeżonych.“

Stanowisko to od lat już kilkunastu zaznacza bardzo wybitnie ze swej strony współczesny ruch spirytualistyczny na Zachodzie, pod hasłami: „Precz z kainizmem!“ Wynosząc wysoko na swych sztandarach zasadę *reformy moralnej* życia społeczeństw, potępiają surowo spirytualiści ten kierunek dążeń współczesności, który nawet w dziedzinie wynalazków znaczy się najjaskrawiej w sferze pomysłowości *co do narzędzi morderczych* mianowicie: Proch bezdymny i t. p. zdobycze genialnej wynalazczości w zakresie sztuki wojennej, to dążenie do puszczenia z dymem całej kultury praw człowieka *na miłości bliźniego* budowanej.

W chwili obecnej jesteśmy już oto świadkami straszliwego iszczenia się tej groźby. Cywilizacja w podstawach jest zagrożona. Z praw człowieka nie pozostaje już nieledwie

kamień na kamieniu. Człowiek zdziwiał moralnie dochodzi do wszechwładzy, zasada „zab za zab“ świeci swoje potworne tryumfy, bo jak okiem zasięgnąć: „Kainowie wznoszą nad Ablami swe mordercze topory!... (Eliza Orzeszkowa).

Chorobliwość takiego stanu rzeczy jest widoczna. Cywilizacyjny postęp, którego dźwignią jest *humanitaryzm*, wkroczył na drogi wsteczne.

„Żyjemy w epoce krytycznej, bowiem moralnym dążeniem naszym grozi niebezpieczeństwo upadku i rozbicia,“ — ostrzega ze stanowiska etycznego Sheldon. „Nigdy w dziejach ludzkości nie było okresu, w którymby cywilizacja w większym była niebezpieczeństwie.“ Nie było wieku w którymby świat bardziej rdzenie był niereligijny. Teoria i praktyka mogły niezgadzać się z sobą w wiekach ubiegłych, ale w stuleciu bieżącym nie zgadzają się z sobą w sposób bolesny. Okrzyk cierpienia i męki wydziera się wszędzie z pierśi ludzkiej; *rodzi się pragnienie gorące jakiejś wyższej postaci życia jednostkowego, ideału społecznego lub wiary religijnej.*

(Dokończenie nastąpi).



DARWID.

ZAPÓZNO.

W moim ogródku zakwitły kwiaty
Jesienne —
I w duszy pragnień powstały światy
Promienne.
I czy pokusę serce me zmoże,
Czy zginie —
Jesienne kwiaty do stóp jej złoże
W daninie.

I.

Zapalano już miejskie latarnie i oświetlano wystawy sklepowe, gdy Jan wracał do domu od sweich chorych. Pogodny, ciepły wieczór sierpniowy przesyczał powietrze delikatną mgłą, nad oświetlonymi ulicami unosiły się drobnutkie pyłki, migocąc w świetle latarni. Na Marszałkowskiej setki dorożek i powozów mknęły po obu stronach ulicy, tysiące ludzi biegło po chodnikach, potrącając się wzajemnie.

Strojne, zgrabne kobiety szykownie unosiły suknie, ukazując żółte buciki, mężczyźni ciekawie zaglądali pod kapelusze, nucąc nowe kuplety.

Ulica wrzała życiem i weselem.

W sklepach kupey uwijali się, obsługując gości, a na werandach cukierni roiło się od raczących się słodyczami. Gdzieniedzie, pod ścianą domu mniej oświetlonego stał żekrak z czapką w ręku, szepcząc pacierze i zbierając datki.

I wśród tego cudownego wieczoru, wśród gwaru i wesela, Jan wracał do domu smutny i poważny.

Na zmęczonej twarzy znać było zniechęcenie, tylko w oczach jakiś tajony przeblyskiwał ogień. Rozmyślał o swoich chorych,

którym niósł słowa pociechy, powracał zdrowie, łagodził cierpienia. I przyspieszał kroku wśród tłumu przechodniów, bo w domu miał chorą żonę, której opieka dozorczyńni nie wystarczała. Właśnie z powodu choroby żony nie wyjechał, jak zwykle, na letni wypoczynek. Smutek zawisł nad jego głową, napęłnił całe mieszkanie, rozstroił nerwy

Szybko skręcił w jedną z bocznych ulic, wszedł do domu, w kilku susach wbiegł na schody i cicho otworzył zatrzask. Już na schodach zdawało mu się, że słyszy śpiew kobiety z towarzyszeniem fortepianu.

— Może to sąsiadka — pomyślał. Nie — czyżby to w jego mieszkaniu kto śpiewał?

Żdziwiony wbiegł do oświetlonego saloniku, z kądem dochodził jego uszu głos kobiety o gorącym, głębokim brzmieniu.

Stanął cicho we drzwiach, nie wierzył uszom i oczom własnym.

Przy fortepianie siedziała kobieta w białej spacerowej sukni i śpiewała serenadę.

Cienkie jej palce delikatnie przesuwały się po klawiszach, pierś falowała lekko, a świeży głos płynął słodką, namłętą melodią. Światło lampy oświetlało jej białą szyję, zgrabne ramiona i plecy, zostawiając twarz w cieniu, rzuconym przez skrzydła modnego kapelusza.

Jan odurzony stał na progu własnego mieszkania, jakby przeniesiony w świat inny, obcy mu, nieznan, a tak upragniony i miły. Młoda kobieta skończyła, powstała i wtedy dopiero spostrzegła doktora.

— No, jesteś nareszcie, doktorze. Czekam pół godziny i czekając, zabawiam się śpiewem.

— To pani? — rzekł zbliżając się, — witam panią, więc pani śpiewa i to tak pięknie.

— Miły z pana stary znajomy, który nie zna talentów swoich pacjentek. Lecz co się z panem dzieje? Nie widzieliśmy się dość dawno, byliśmy zdrowi, a pan przychodzisz tylko wezwany do chorych.

— Zasłużona wymówka, ale tyle zajęcia... przytem byliście państwo na letnim mieszkaniu, u mnie zmartwienie... żona chora, ja sam, zdenerwowany, nie bywam nigdzie.

— Tak, wiem o tem, przeżywasz pan resztki lat młodych, jak pustelnik... Obowiązki, praca... — mówiła młoda kobieta, siadając na fotelu. — Marnujesz się, doktorze, wierzaj mi, a szkoda życia. Wszakże masz już dosyć tych obowiązków, tej sławy — no i pieniędzy — prawda? A szczęście? czy wiesz co jest szczęście? czyś pan był szczęśliwy?

I śmiała się, pokazując śliczne zęby i szleszcząc jedwabiami.

Jan patrzył na nią zdumiony. Czy to była pani Irena? Nie widział jej bardzo dawno i nigdy nie wydała mu się tak piękna. Znał ją lat tyle jako żonę, matkę, gospodynię, zapracowaną, zakłopotaną, zmartwioną chorobą dziecka, z podsiniałymi od bezsenności oczyma, szczupłą, żółtkłą od ciągłych kłopotów i trudów macierzyństwa. Póki dzieci były małe, bywał u nich często. Po jednym chłopcu, przyszedł na świat drugi, po kilku latach córeczka, a każde z nich od czasu do czasu chorowało. Dzieci rosły w jego oczach, cieszył się nimi i nie zwracał uwagi na matkę, która prawie dzieckiem wyszła za mąż i rosła, i piękniała. On tego nie widział.

Dziś, gdy ją zobaczył w całej piękności kobiety trzydziestoletniej, nie mógł się nacieszyć i napatrzeć.

— Tak, ma pani słusność, starzeję się. Ale pani, jakaż pani piękna!

— Dopiero dziś pan to widzi, doktorze? — zapytała.

— Nie dziś... ale dziś zdaję sobie sprawę z tego, co widzę.

— I nie pytasz pan, czemu to szczęście zawdzięczasz?

— Nie pytam, tylko dziękuję. Zjawiasz się pani w tym domu smutnym, jak promień słońca, jak kwiat, zaglądający przez okno do celi pustelnika.

— Więc uznajesz pan prawdę słów moich?

— Najzupełniej. Życie obowiązku pochłania, zużywa wszystkie siły, zajmuje wszystkie chwile...

— Wstydz się, doktorze, każdy, kto pracuje, potrzebuje odpoczynku, a pan? Usychasz, posiwiasteś, starzejesz się. Patrz pan — mówiła, zbliżając się do otwartego balkonu, — wieczór taki piękny, ulicami pędzi tłum wesół, szukając wytchnienia po pracy. A pan? więdniesz w tych ścianach. Proszę iść ze mną do Doliny, tam czeka na mnie rodzina, wstąpiłam na chwilę do rodziców, a potem do pana... widzisz pan, jaka jestem dobra, pomyślałam o panu, proszę podziękować...

Jan ujął białą, wysmukłą, o długich przezroczytych palcach rękę kobiety nerwowej i poniósł do ust. Oczy ich spotkały się. Te dobre, dziecięce oczy Ireny, patrzyły nań tak życzliwie, ręka jej z ufnością spoczywała w jego dłoni. Uczuł zawrót głowy.

Z drugiego pokoju cichy jęk doszedł jego uszu.

Drgnął, twarz jego powlokła się smutkiem.

— Słyszysz pani? żona chora od trzech miesięcy, jest cokolwiek lepiej, ale cierpi jeszcze.

— Ach, kochany doktorze, jak mi pana żal... Pojadę sama — lecz gdy żona będzie zdrowsza, przypomnij pan sobie o swoich przyjaciółach. Kochamy pana wszyscy, rodzice i dzieci, proszę pamiętać i przyjść na gawędkę.

Podniosła się, wysmukła jak lilia, woniejąca jak kwiat, i serdeczna, jak siostra, podała Janowi dłoń na pożegnanie.

Zaszeleściły jedwabie i znikła, jak widzenie senne.

Jan został smutny, wdychając odurzający zapach, który zostawiła po sobie.

Resztę wieczoru spędził przy chorej żonie, a gdy usnęła, długo jeszcze w swoim pokoju myślał o uroczym gościu. I przypomniał sobie pierwsze poznanie.

Było to nad ranem. Wezwano go do chorego chłopczyka. Odtąd bywał tam lat szeregiem jako lekarz rodziny i szczerzy przyjaciel. Dzieci kochały go, rosły pod jego okiem, wyrosły i przestały chorować.

A matka piękniała i wypiękniała. Dziś dopiero spostrzegł, jak jest piękna. Myśląc o jej mężu, który także zaczął siwieć i utył znacznie, wyobrażał sobie, jak szczęśliwym musi być ten człowiek od lat tyłu. Troje dzieci i taka żona. Gdy ją poślubił, była dzieckiem prawie jeszcze, dziś jest piękną kobietą.

I wyobrażał sobie pozycie tej pary od lat kilkunastu w tem samym mieszkaniu cichem,

Praca kulturalna kobiet rosyjskich.

ze źródeł obcych
spolszczyła J. W.



(Dokończenie).

czystem, słonecznym, przesiąkniętym wonią kwiatów, które z zamilowaniem pielęgnowała Irena. Wszędzie tam widać było rękę dobrej gosposi, zamożność, połączona z dobrym smakiem wygląda z każdego kącika, z każdego szczegółu umeblowania. Z latami przybywają dzieci, których głosy wesołe rozbrzmiewają w jasnych pokojach. Szafy z książkami zapełniają się coraz szczelniej, z każdym rokiem przybywa książek i cławy szczęśliwemu mężowi. Dzieci rosą, a żona co rok piękniejsza.

— W tym domu mieszka szczęście—myślał Jan, — ilekroć znalazł się w progach tej rodziny.

Potem, gdy bywał rzadziej, jako przyjaciel, w dniu imienin pani lub pana, gdy myślał o nich w ciszy swego gabinetu, uważał ich za jedną z najszczęśliwszych rodzin wśród swych znajomych. Przywiązał się do nich, a dzieci kochał, jak swoje. Dzieci! Jakże on kochał dzieci, choć swoich nie miał. Może dlatego właśnie kochał tem więcej, bo pragnął. Gdy spotkał kobietę z dzieckiem na ręku, pragnął porwać je i zabrać dla siebie... W tej miłości rodzicielskiej widział największe szczęście człowieka i dlatego może ustrzegł się kobiety jako kobiety, — uwielbiał w niej przede wszystkim matkę. Gdy lata minęły, nie ziściwszy jego pragnień ojcostwa, kochał cudze dzieci i czcił ich matki jako matki.

I tak przeżywał wiek mężki w pracy społecznej i naukowej, w obowiązkach ciężkich, bez myśli o szczęściu własnym. A gdy czasem o niem pomyślał—to jako o kwieciu paproci, który dlań już nigdy nie zakwitnie.

W tym roku wyjątkowo smutnym z powodu choroby żony, postarzał znacznie, przybyło mu siwych włosów. Sławę miał, majątek też—a szczęście? Szczęście zostawii gdzieś po za sobą, może przeszedł obok niego, może go wcale nie spotkał, może było ono złudzeniem... Przed nim jeszcze szereg lat pracy i obowiązku, potem nekrologi, wieńce i... zapomnienie.

I po raz pierwszy pozazdrościł temu mężowi takiej żony, takiej matki, takiej kobiety.

Zegar uderzył północ.

Z sąsiedniego pokoju dochodził cichy oddech chorej, Jan przymknął oczy i sam nie wiedział, jak długo tak przesiedział w zamyśleniu...

I słyszał szelest jedwabiu i wciągał w piersi woń, którą wypełniła jego mieszkanie piękna kobieta. Szczęście? Irena? Te dwa pojęcia pogmatwały się w jego umyśle, połączyły, zlały w jedno.

Szczęście wydało mu się uosobieniem Ireny i tam tylko być mogło, gdzie była ona...

A tu u niego dokoła smutek i osamotnienie zalegały od lat tyłu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tu więc, gdzie władze odmawiają wszelkiej pomocy i podpory, kobiety postanowiły krzewić oświatę i kulturę. Przedewszystkiem, nauczycielka ludowa, która dobrowolnie udaje się na taką pustynię duchową; następnie zaś obywatelka ziemska, która drogą otwierania szkół, ochron i innych, tym podobnych instytucji, stara się sprawę oświaty posunąć. Mają one ogromne pole działania w tych swoich udzielnych państewkach, jak często nazywane są olbrzymie majątki ziemskie. W niektórych z tych majątków „cnoty“ niewolnictwa t. j. przywiązanie i poczucie odpowiedzialności, zachowały się w takiej czystości, że wynikiem ich stał się stosunek patryarchalny chłopów do panów, ułatwiający dążenia kulturalne tych ostatnich. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że stosunki takie należą do wyjątków, jednak i te wyjątki są zjawiskiem pocieszającym. Tutaj ruch kobiecy zatrzymuje się, nie zstępuje już niżej. Może sprawdza się tu przysłowie: „Chcesz, żeby inni ci pomogli, to pomóż sobie sam.“ W proletaryacie musi powstać przede wszystkim dążenie do uzyskania ludzkich warunków bytu codziennego, ażeby w nim mogły zacząć kiełkować myśli o moralnej i umysłowej kulturze, i aby kultura ta mogła przynieść owoce. Rozpatrując „kwestię kobiecą“ w Rosyi i porównując ją z rozwojem jej w innych krajach, a specjalnie w Niemczech, spostrzegamy jedną wybitną różnicę.

Podczas, gdy początki ruchu kobiecego w Niemczech i innych krajach Europy zachodniej, tkwią głęboko w dążeniach filantropijnych, których rys znamieny cechuje i dalszy rozwój tej sprawy, w Rosyi ruch kobiecy jest sprawą czysto indywidualną. Przebić się przez życie, stać się jednostką wybitniejszą, cieszącą się szacunkiem i uznaniem i zdobyć sobie niezależne stanowisko materialne — oto rysy znamienne ruchu kobiecego w Rosyi.

Różnice te mają swoje poważne podstawy. Ruch kobiecy rozwinął się w Rosyi jednocześnie ze sprawą oświaty mężczyzn. I mężczyzna, obierając sobie zawód, nie stawia na pierwszym planie dobra ogółu, lecz myśli o swoich osobistych korzyściach. Te kobiety, które pierwsze poszły śladami mężczyzn, chciały tylko dowieść, że są równie dzielne, równie pracowite i równie zdolne, jak oni, i że do tych samych rezultatów pracą swoją dojść potrafią. To był pierwszy dowód indywidualnego charakteru sprawy kobiecej. Drugi ważny powód tkwi w trudnościach, stawianych przez rząd wszelkiemu życiu związkowemu. Nawet takiemu niewinnemu stowarzyszeniu, jak „Towarzystwo ochrony zdrowia kobiet“, mającemu na celu urządzenie zabaw tanecznych higienicznych, na których są zdrowe, wygodne kostiumy, otrzymują nagrody, przypisuje rząd jakieś ukryte tendencje polityczne. W Petersburgu istnieje tylko jedno sto-

warzyszenie kobiet, pod protektoratem doktorki Szabanow; „Towarzystwo udzielania rad i pomocy kobietom;“ działalność jego polega głównie na opiece, rozta czarnej nad przytulkami dla dzieci.

Jasną jest rzeczą, że zadania socyalne i pomoc ogółu, wymagającego dla swej ogromnie rozległej działalności sił zbiorowych, rozwinąć się tu na razie nie mogą. Na ogromne uznanie zasługują kobiety, które w takich warunkach, zawsze same, postawiły sobie jednak za zadanie użyteczną działalność dla dobra szerszych mas.

Należy wspomnieć o kobiecie, której życie jest nader ciekawe i zasługuje na poznanie. Mianowicie o doktorze Cwietłowskiej, założycielce pierwszych „Wyższych kursów dla kobiet,“ otwartych w Moskwie w roku 1868-ym.

D-r Cwietłowska studyowała w Bernie; była jedną z pierwszych kobiet, które uzyskały stopień doktora. Po powrocie do Rosyi, minister Milutin zaproponował jej posadę w szeregach armii czynnej. D-r Cwietłowska i koleżanka jej d-r Sybold, propozycję tę przyjęły i jako starsi lekarze ambulansowi były świadkami wojen rosyjsko-tureckiej i bułgarsko-serbskiej. D-r Sybold osiedliła się następnie w Konstantynopolu; d-r Cwietłowska wyszła za męża i poczęła studyować dentystrykę; musiała jednak przerwać swą działalność wskutek bardzo wątłego zdrowia, które nie znosiło wyczerpującej pracy. Dziś jest czynną, jako autorka i organizatorka rozmaitych instytucji. Ona otworzyła pierwszy przytułek dla starych i chorych lekarek; na razie otwarto tylko pawilon pierwszy, projektowanych zaś jest dziesięć. Cesarz podarował na ten cel teren i 8,000 rubli; pozostałe koszta mają być pokryte przez Stowarzyszenie, którego ona jest założycielką, oraz przez wkłady i składki zainteresowanych. Cwietłowska zajmuje się bardzo reorganizacją domów dla podrzutków, z których moskiewski jest największym na świecie. Cwietłowska opracowała dla niego program świetny i niezmiernie rozległy, lecz dążenia jej napotykają na kolosalne trudności, gdyż przytulki są fundacją Katarzyny II-ej; mają trzynaście milionów rubli i żywią całą armię urzędników, którzy według jej planu są przeważnie zbyteczni.

Do kobiet pracujących na polu pomocy społecznej, należy też hrabina Bagrinska, która ufundowała pięć domów dla robotnic fabrycznych i dla bezdomnych kobiet i dzieci. Trudno wymienić tu wszystkie urządzenia filantropijne, których jest w Rosyi legion. Miliony rubli dają Rosyanie dla ulżenia doli potrzebujących, niższych sfer; lecz pieniądze te, przeważnie nieumiejętnie użyte, lub skradzione, marnują się, a częstokroć jeszcze pogarszają zło społeczne.

Tu otwiera się szerokie pole działalności dla kobiet, których studia nie mają na celu zdobycia chleba, które mają dużo czasu i pieniędzy i mogły poświęcić się dobrej sprawie.

Często spotykamy dobre chęci, ale użyte niewłaściwie. Tak naprzykład niedawno zorganizowało się w Rosyi Towarzystwo podniesienia i poprawienia doli robotnic, służących i prostytutek, pod nazwą: „Pomoc kobietom,“ lecz Towarzystwo to cechuje zupełny brak

jednolitego programu, który musi je doprowadzić do upadku.

W każdym razie pociesającym jest fakt, że do bogatych sfer rosyjskich przenika już konieczność brania czynnego udziału w sprawach społecznych. Zdolności organizatorskie przyswoją sobie z czasem.

Ażeby dopełnić obrazu stanowiska kobiety w Rosyi, trzeba jeszcze dodać słów kilka o jej położeniu prawnym, choć o tem mało da się powiedzieć, gdyż teraz właśnie prawo rodzinne ma ulec zmianie. Miejmy nadzieję, że położenie kobiet pod wielu względami ulegnie pomyślniej zmianie, a w każdym razie nie pogorszy się. Biorąc na ogół, jest ono obecnie względnie jeszcze nie najgorsze. Jako panna, zależy kobieta od nieograniczonej władzy ojca, która następnie przechodzi na męża. Zależność ta dotyczy tylko jej osoby, gdyż majątek jej jest nietykalny, chyba jeżeli żona przekaze go dobrowolnie na męża. Rozwody są bardzo kosztowne i trudne do uzyskania, możliwe jednak bywają w pięciu wypadkach. Powtórne zamążpójście jest dozwolone tylko za wyraźnym pozwoleniem cesarza, którego trzeba o nie prosić na osobistym posłuchaniu. Po uzyskaniu rozwodu przez małżeństwo dietne, synów przyznają zawsze matce, córki zaś ojcu, w tem przekonaniu, że każda iak zwana słabsza część powinna mieć mężką podporę i opiekę. Koszty utrzymania dzieci legalnych na równi z nielegalnymi do lat 18-tu ciąży na ojcu. Jeżeli ojciec umiera, albo ginie bez wieści (prawo jego do rodziny gaśnie po upływie pięciu lat), to miejsce jego jako opiekuna prawnego, zajmuje matka i na nią przechodzi nieograniczona władza nad dziećmi. O jakiejś pomocy mężkiej, obcym opiece, nie ma tu mowy.

Zależność osobista żony od męża jest znaczna, z drugiej zaś strony prawo energicznie broni jej praw do męża, jako żywiciela rodziny.

Dzieją się tu czasem dziwne rzeczy. Zdarzył się na przykład wypadek następujący: robotnik, posiadający żonę i dzieci, zaczął nagle zaniedbywać własną rodzinę, a zwrócił swoją sympatyę i zarobki ku obcej dziewczynie. Jego prawna małżonka, osoba pracowita i porządna, wytropiła ten stosunek i złapała tę parę in flagranti. Przedewszystkiem wyrzuciła za drzwi pijanego męża, następnie, zabrała się do równie pijanej dziewczyny, którą obila tak okrutnie, że nieszczęśliwa ofiara po dwóch dniach zmarła skutkiem otrzymanych ran. Sąd kobietę tę uwolnił, gdyż sędziowie uznali, że aczkolwiek dopuściła się czynu gwałtownego, w gruncie rzeczy jednak broniła swoich praw.

Widzimy więc, w jaki sposób powstała kwestya kobieca; jak się rozwijała i w jakich sferach społeczeństwa rosyjskiego znalazła grunt najpodatniejszy, jakie stanowisko zdołała sobie wywalczyć w swojej ojczyźnie kobieta rosyjska i to w przeciągu stosunkowo tak krótkiego czasu w porównaniu z kobietami innych krajów przyszło im to z wielką łatwością; zdobyły one sobie, dzięki swojej energii, samodzielności i pracowitości te same widoki na przyszłość, co mężczyzna. Co prawda, wynagrodzenie pracy kobiecej przy tej samej sprawności, co mężką, nie jest dziś

jeszcze równe, jest to jednak niewątpliwie tylko kwestya czasu.

Z wyjątkiem nielicznych zawodów, stoi też kobietom droga urzędowa otworem. Mężczyźni nie tylko pozwolili im pracować obok siebie, ale dopomogli i zachęci do tej pracy, uważając je za ważny czynnik kultury, od którego należy się spodziewać wielu korzyści dla kraju.

Jest to pogląd, do którego w Niemczech dorosły tylko nieliczne, głębsze jednostki mężkie; w Rosyi zaś jest on głosem ogółu inteligencji.

Dzięki temu zdarzyło się na przykład, że z okazji rocznicy założenia uniwersytetu moskiewskiego, jeden z profesorów miał mowę „O wykształceniu i pracy kobiet“ w obecności audytorium czysto mężkiego i zakończył swoje przemówienie słowami: „Czas i praktyka odpowiedzą najlepiej na pytanie, czy sumienne oddanie się zawodowi umysłowemu godzi się z licznymi obowiązkami matki, mojem jednak zdaniem, dobra matka nie podejmie się roboty, któraby przeszkadzała jej w wypełnianiu najwyższych, najświętszych obowiązków, a zła matka napewno nie stanie się gorszą przez to, że będzie w dalszym ciągu pracowała w zawodzie umysłowym.“ Być może, iż profesor ten zbyt lekko i powierzchownie odpowiadał na tak ważne pytanie, w każdym razie jednak słowa jego są wymownym dowodem sympaty, jaką sfery naukowe żywią dla ruchu zajmującej nas sprawy.

A teraz zadajmy sobie pytanie: „Czy rosyjanka utorowała nowe drogi kulturze? Czy jej wystąpienie wskazało szlaki, na których obie płcie mogłyby się swobodnie poruszać, bez brutalnej pogardy z jednej, a rozgoryczenia z drugiej strony?“ Na pytanie to musimy stanowczo odpowiedzieć: „Nie, tego nie uczyniła.“ W walce o równouprawnienie jej intelektualne i materyalne, szła na równi z mężczyzną szlakami dawno utartymi, nie zadając sobie dotychczas pytania „Co dalej?“ Lecz i dla niej przyjdzie chwila, w której będzie musiała zadać sobie owo pytanie. Bo aczkolwiek pole jej działalności jest w Rosyi szersze niż gdziekolwiek indziej, z wyjątkiem Ameryki, cała jednak inteligencja skupia się i tłoczy w niewielu miastach większych, tak, że niezadługo już kobiety zaczną sobie wzajem przeszkadzać. Niezależnie od tego przypada im w udziale zasługa, że przekształciły kwestyę kobiecą z czysto teoretycznej na praktyczną i już dzisiaj korzystają z owoców tej zmiany.

Na zakończenie jeszcze jedna złośliwa uwaga. Z powyższych zestawień sędzićby można, że kwestya kobieca w Rosyi należy tylko do sfer inteligencji. Omyliłby się głęboko, kto by chciał wyprowadzić z tego wniosek, a wykształcona, dobrze wychowana rosyjanka jest jakoby *femme avancée*, która wita z radością każdy krok na polu dalszego rozwoju ruchu kobiecego.

Należy pamiętać, że Rosya jest krajem na wpół azjatyckim, krajem krańcowych kontrastów; spotykamy tam bezgraniczne poświęcenie obok najbezwzględniejszej żądzy panowania. Rosyanka, „dama“ ze sfer bogatych, zajmuje stanowisko zbyt wygodne, aby chciała wyrzec się go dobrowolnie. Nie po-

trzebuje ona jać się najlżejszej pracy, gdyż ma na zawołanie 15 lub 20 osób służby; a przecież myślenie także jest wysiłkiem. Póki się jej mężowi dobrze powodzi, i jej na niczem nie zbywa. Na cóż sobie zaprzętać głowę rozmyślaniami nad problematem nie dotyczącym jej bezpośrednio?

Jest to bryła nieruchoma, drzemiąca, ukryta siła.

Jedna z pierwszych i najstarszych przedstawicielek ruchu kobiecego wyrzekła znaczące słowa: „Najgorsze nieprzyjaciółki naszej sprawy, kryją się w naszym własnym obozie. Nie mężczyźni tamują nasz rozwój — przeciwnie, kobiety wstrzymują nasz pochód.“ Mężowi owej kobiety, profesorowi uniwersytetu moskiewskiego zdarzyło się, że pewna dama z towarzystwa zapytała go, do jakiego lekarza specjalisty ma się udać w razie potrzeby; profesor podał jej nazwisko kobiety-lekarka, dodając wyraźnie, że jest ona doskonałą specjalistką. Dama odparła oburzona: „Ależ profesorze, przecież nie będę leczyła się u kobiety, toć nie zwaryowałam jeszcze!“

Na szczęście przykłady takiego zacofania zdarzają się coraz rzadziej.



KIKLA UWAG

z powodu odwiedzenia w Piasecznie przytułku dla dziewcząt upadłych.



W tych dniach zdarzyło mi się uczestniczyć w uroczystości zaślubin jednej z wychowanek hr. Moriconi, założycielki schronienia dla dziewcząt upadłych god wezwaniem św. Małgorzaty.

— Jakto? — spyta może czytelniczka, jedna z tych, co unoszą kraj szaty, chroniąc ją od zetknięcia z przechodzącą dziewczyną uliczną, „takie“ wychodzą za mąż?

Nie tylko wychodzą, ale stają się wzorowymi żonami i matkami, jak o tem świadczy kronika zakładu, który stale czuwa nad niemi. Z setek wychowywanych tam dziewcząt, jedne biorą się do pożytecznej, uczciwej pracy, drugie, a tych było 49, świecą w swych ogniskach domowych przykładem cnoty i wierności małżeńskiej.

Dziewiętnastoletnia narzeczona, przystępująca do ołtarza, od sześciu lat wychowuje się w Zakładzie, przygarnięto ją więc trzynastoletniem biednym, skrzywdzonym dzieckiem.

Uczestniczki pierwszego, a tak licznego Zjazdu kobiet polskich, zwołanego pod hasłem Orzeszkowej, ze wzruszeniem śledziły obrazy, które roztoczyła przed niemi p. Moriconi. Z nieporównaną a bolesną prostotą odczytała ona tylko historię swoich wychowanek.

Przed oczyma szczęśliwych żon i matek, kobiet zabezpieczonych od zasadzek i pokus, które nędza za sobą prowadzi, przesunął się szereg krzywd i zbrodni, będących krwawą hańbą dla społeczeństwa.

Te, które walczyły dla płci swojej o prawa człowieka, przekonały się w jakich rozmiarach istnieje u nas ta forma najgorszego niewolnictwa; ile tysięcy naszych siostr skazuje brutalność i wyzysk niegodny na powolne zamieranie w czeluściach rozpusty, bez promyka lepszej przyszłości, bez nadziei wyzwolenia!

Matki usłyszały za zgrozą, że dzieci już

między 8-ym a 12-tym rokiem życia są pod naciskiem nędzy sprzedawane przez własnych rodziców i że za marnych kilka rubli wydają ich ciała na rozkład i zbeszczeszczenie, ich dusze na pastwę najgorszego z poniżej ludzkich.

Kobiety polskie dowiedziały się, że Warszawa, ta wesoła Warszawa, zajmuje wśród stolic europejskich jedno z pierwszych miejsc pod względem występku, że jest gniazdem zepsucia małoletnich.

I te marne okruchy istnienia, te sponiewierane, niewinne istoty zbiera po szpitalach i zaułkach miejskich szlachetna założycielka zakładu poprawczego, lecz je fizycznie i moralnie, aby odrodzone i zdolne do pożytecznej pracy, oddać napowrót społeczeństwu.

W czasach sądów doraźnych i polowych, masowych potępień partyjnych i bezprzykładnego lekceważenia wartości życia ludzkiego, dobrze jest przypomnieć odwieczną prawdę; że każda jednostka ludzka przedstawia kapitał, tak ekonomiczny, jak moralny, i że w normalnie rozwijającym się społeczeństwie zatrać go bezkarnie nie wolno.

Cześć więc tej kobiecie, która sama jedna za cały legion lekkomyślnych i obojętnych, idzie do tych opuszczonych i nieszczęśliwych. Idzie w imię pogardzonej dziś zasady chrześcijańskiej: że niema prawie tak zepsutej natury, którejby umiejętna ręka nie zdołała przywrócić pierwiastku przyrodzonej godności, owej cząstki Boga, złożonej w głębi każdej ludzkiej duszy.

Przyjrzyjmyż się zblizka Zakładowi, który tak godnie spełnia trudne zadania.

Położony wśród pól, na krańcu miasteczka, obszerny budynek pomieścić może kilkadziesiąt wychowanek. Otacza je staranna opieka 8-iu osób stałego personelu.

W widnych i przestronnych salach odbywają się pogadanki etyczne i nauczania, przy czem dziewczęta doskonaliły się w robotach, mających być dla nich w przyszłości źródłem utrzymania. Szyją więc, haftują, uprawiają ziemię, należącą do zakładu, same nawet, jak mi mówiono, wybudowały chlewnię i kurniki.

Obszerne sypialnie z białą zasłaniami łóżkami, umywalnie, wszystko świadczy o doskonale utrzymywanej higienie ducha i ciała.

W białej kapliczce odprawia się nabożeństwo, towarzyszy mu chór wychowanek — a nie brak w nim głosów pięknych i muzycznych. W ogóle panuje tu atmosfera dziwnie pogodna i czysta, niewinna wesołość nie jest wcale wykluczona, nie trudno więc pojąć, że dziewczęta bardzo prędko przyzwyczajają się do nowego trybu życia, zdają się zapominać, że niedawno jeszcze, żyły w zaprzeczeniu tego wszystkiego, co ich tu otacza.

A życiodajnym źródłem, z którego czerpią moc odradzającą, jest macierzyńskie serce szlachetnej kobiety, która całą mocą swego czystego ducha stwarza im nową duchową rodzinę.

Smutno to jednak powiedzieć, że takie schronienia są oazami na pustyni, przytulic mogą zaledwie kilkadziesiąt nieszczęśliwych, gdy tysiące giną bez pomocnej, litościwej ręki.

O, jakże pragnęłabym poruszyć serca kobiet ze sfer inteligentnych, tych, co otoczone dostatkiem i szacunkiem, odwracają się ze wstrętem od bolesnej rany, jaką jest los kobiet upadłych, niechaj wiedzą, że przepaście społeczne kopie egoizm klasowy, a miłość jedynie zapełnić je może.

Nie wszystkim dane jest móż wejść między te nieszczęśliwe, dźwignąć je, leczyc i szlachetnej tej idei poświęcić życie, ale wszystkie mogą przeciwdziałać rozszerzaniu się zepsucia. Niechaj matka uczy syna, że uszanować godność ludzką w kobiecie, choćby najniższej stojącej, jest jego obowiązkiem i prawem, że tylko człowiek czysty na duszy i su-

mieniu może godnie dźwignąć ciężar obowiązków prawdziwego obywatela.

Niech nie odgradza od życia córki całą sferą wykwintnych rzekomo, przyzwyczajęń i sztucznie wytworzoną nieświadomością, niech nauczy ją czego ma prawo wymagać od przyszłego męża, na czem polega istota życia i prawdziwe szczęście w małżeństwie.

A nadewszystko niech występki przeciw moralności nie będzie grzechem tolerowanym w towarzystwie i niech się spotka wszędzie z jawnym potępieniem.

Uderzmy się w piersi, jak mało pań domu, kapłanek naszych ognisk domowych, wypełnia obowiązek czuwania nad swymi domownikami. Te dwory obywatelskie na wsi, mające być rozsądnymi kulturą wśród osad włościańskich, czyż dla pracowników przy wspólnym warsztacie rolnym tworzą taką duchową rodzinę, któraby ich umocniła, oświecała i podnosiła. Smutną na to odpowiedzią jest praca pani Karczewskiej p. t. „Dziewki folwarczne,” i referat jej odczytany na Zjeździe kobiet polskich, p. t. „Dola i niedola ludu wiejskiego.”

Służące zaś miejskie dostarczają najliczniejszego kontyngensu do domów rozpusty, uciekają się tam najczęściej przeszedłszy już całą otchłań tajemnych porodów i nędzy.

Dusza się wzdryga na takie stosunki, dla uzdrowotnienia ich potrzeba szerokiej, wielkiej akcji społecznej.

Nie brak nam sił żywotnych, dajemy ich dowody w ciężkiej walce o nasz byt kulturalny — wywalczymy go jednak tylko wtedy, gdy potrafimy sami moralnie się odrodzić.

D. rowa Kosmowska.



Z listów do „Bluszczu.”



Paryż, w Październiku.

Rozpoczynając szereg korespondencji z Paryża, należałoby wystąpić od razu z zasobem wiadomości, któreby mogły szczerze zainteresować czytelniczki „Bluszczu,” mające prawo wymagać dokładnych informacji o życiu społecznym i umysłowym „stolicy świata.”

Niestety, chwila obecna znacznie zadanie to utrudnia. Gdy bowiem w Warszawie, jak się zdaje, miasto powraca do normalnego biegu życia — Paryż nie chce uwierzyć, iż pierwsze podmuchy jesieni ozłociły już drzewa parków, zaścielając gazony i żwirem usypane ścieżki kobiercem umierających liści; że, co za tem idzie, pora oderwać się od przyjemności, nieodłącznych od letniego wypoczynku, i powrócić do szarych zajęć powszedniego życia.

Co prawda wakacje Francuzów, a przede wszystkim „szanującego się” Paryżanina, rozpoczynają się znacznie później, niż u nas.

Moda, nakazująca pozostawać w miescie do końca sezonu wiosennego, wpływającego wraz z „wielkim tygodniem” (*la grande semaine*), którego koronę i zakończenie stanowi dzień wyścigów w Longchamp z „wielką” również nagrodą, a obowiązująca, zapewne, świat, który tak chętnie stosuje do siebie określenie: *tout Paris* — odbija się poniekąd i na zwyczajach istotnie całego Paryża. Do powyższej więc daty — bezwiednie czy z rozmysłem — zastosowują się teatry, organizatorowie wystaw i t. d., wszystko to zaś sprawia, że życie paryżkie, płynące zazwyczaj naksztalt szeroko rozlanej rzeki, na czas letnich miesięcy zwięża się do minimum, przenosząc się natomiast nad brzegi morza i do miejscowości leczniczych, dokąd wnet po *grand prix*, wy-

jeżdża nie tylko ta część Paryża, która nada je ton w życiu światowym, artystycznym i literackim, ale i szary tłum skromnych pracowników biurowych, urzędników i t. p., z rodzinami, mogących, wobec ułatwień ze strony towarzystw kolejowych, pozwolić sobie na kilkotygodniowy pobyt w mniej uczęszczanych letniskach.

Francuzi dotychczas uchodzili za naród, zajmujący jedno z ostatnich miejsc w rekordzie turystyki. W ostatnich czasach, jakby pragnąc się zrehabilitować, coraz więcej ukazują się na wielkich szlakach, po których przelewa się fala kosmopolitycznych podróżników. Natomiast za wielką należy im poczytywać zasługę, że nigdy nie zapominali o własnym kraju, starając się poznać wszystkie malownicze jego zakątki. Tego rodzaju wycieczki należą stale do programu wakacji przeciętnego Paryżanina, w latach ostatnich zaś wzmogły się jeszcze więcej, gdyż, wobec upowszechnienia się samochodów, przybyła nowa atrakcja. Ci, z pośród Paryżan, którzy wybrali stały pobyt w którejkolwiek z miejscowości kąpielowych, nie mogli również tego roku narzekać na brak rozmaiłości. Zajmujący co raz poczestniejsze miejsce w życiu Francuzów sport, przedostał się i na plażę, gdzie tego lata miał tyluż chyba zwolenników, co główny, zdawałoby się, cel pobytu nad morzem — kąpiel. Że jednak względy kuracyjne przy wyborze letniej siedziby w rzadkich tylko wypadkach grają rolę, a przede wszystkim chodzi o przyjemne przepędzenie czasu — przeto oddawano się sportowi z równym, jak w Paryżu, przejęciem, korzystając z nadarzających się okazji, których dostarczały zarządy kąpielowe, prześcigające się w organizowaniu pomysłowych zabaw wszelkiego rodzaju i zapasów sportowych. Stanowiło to wybitną cechę ubiegłego sezonu, w ciągu którego, jak nigdy chyba przedtem, zaniedbywano morze dla *golfa*, *polo* i t. d. Panie brały w tem wszystkim gorący udział, porzucając jedynie piłkę i strój tenisowy dla przywdziania wykwintnej tualety, w której zajmowały miejsca na trybunie pola wysięgowego. Bo i o tym sporcie nad morzem nie zapomniano.

Koniec Września, pierwsza połowa Października — to właśnie chwila, w której Biarritz roi się od tłumów, przepelniających przedtem plaże Bretanii i Normandii. Więc choć większość Paryżan, tych mianowicie, których obowiązki do tego zmusiły, powróciła już w mury miasta, — życie paryżkie nie wyszło jeszcze, jakeśmy już wspomnieli, z kola ospałości, w którym przez całe lato pozostawało. Bo choć na miejscu dawnych „Tuilleries,” dzisiaj cudzoziemiec oglądać może jedynie nie wielkie drzewka młodego ogrodu, choć ukoronowanych gości Paryża w imieniu rządu wita tylko p. Fallières — „stolica świata” pozwała sobie na pewnego rodzaju arystokratyzm i ze spokojem patrzy, jak ster różnych tych spraw, które w mniemaniu Paryżanina czynią jego miasto jedynym w świecie, przechodzi w ręce utytułowanych potomków owych *ci-devant* z przed lat stu kilkunastu, lub świeżo wzbogaconych jednostek, milionami pokrywających brak tytułu lub choćby partykuły *de*.

Faktem jest, że po za sferą spraw politycznych i społecznych, większość innych, te mianowicie, które nadają właściwy ton olbrzymiej metropolii w trzeciej Republice, pozostaje w ścisłej zależności od bogatego mieszczaństwa, a poniekąd i od arystokracji. Sztuka, literatura — po za szczerem i nieskrępowanymi przejawami istotnego artyzmu — coraz bardziej popada w zależność od tych właśnie kół towarzyskich, które dzięki wyjątkowemu położeniu, wysuwają się na plan pierwszy i pragną odgrywać dominującą rolę. Sfery te, nie poprzestając na popieraniu piśmiennictwa i sztuk pięknych, co zresztą byłoby tylko chwalebne, pragną same brać w tem udział

i piętno swej indywidualności wycisnąć. To zaś z konieczności pociąga za sobą przymieszekę tak niepożądanego pierwiastku, jakim jest snobizm. W literaturze pięknej, w teatrze, wreszcie w sztukach plastycznych (choć tu może najmniej) od lat kilku coraz trudniej spotkać się ze szczerością, na wszystkim natomiast znać niekorzystny wpływ owej uległości, z jaką artyści poddają się naciskowi mody. Jednocześnie z niesłychaną szybkością wzrastają zastępy osób z pośród „towarzystwa,” które postanowiły za wszelką cenę wywalczyć sobie rozgłos na polu sztuki lub literatury. Nie chodzi tu już — jak dawniej — o uprawianie jakiego *art d'agrément* dla własnej i najbliższego otoczenia przyjemności, lecz wprost i otwarcie niemal o współzawodnictwo z artystami zawodowymi. Jednym z pierwszych objawów tego ruchu był szereg „salonów,” urządzonych przez członków i członkinie różnych klubów i korporacji, z malarstwem nic nie mających wspólnego. Później rzucono się do literatury — i tu istotnie objawiło się parę rzetelnych talentów, jak np. poetka hr. de Noailles. Z czasem przyszła kolej na sztukę dramatyczną. Sezon ubiegły odznaczał się niesłychaną powodzą przedstawień teatralnych amatorskich, w których aspiracje sięgały zazwyczaj po nad rezultaty.

Jak daleko ten zapal zaprowadzi — trudno przewidzieć. Tymczasem musimy zanotować, że pomyślano już o stworzeniu odpowiedniej szkoły dla zastępów owych amatorów, a głównie amateerek. Sprawą tą zajęło się mianowicie ruchliwe pismo tutejsze dla kobiet „Femina,” które wkrótce otwiera w swym „hôtel” przy Polach Elizejskich ni mniej ni więcej, tylko konserwatorium, mające rywalizować z utrzymywanym przez rząd sławnym konserwatorium paryskim. Uczelnia ta, nazwana przez założycieli: „Le Conservatoire des Amateurs, école supérieure d'Arts d'agrément,” zamierza wydawać swym uczniom dyplomy, przy zapisach zaś stosowane mają być wymagania równie surowe, jak w konserwatorium na Przedmieściu Poissonière. Być może, że tym sposobem uniknie się, a przynajmniej ograniczy dyletantyzm, nieodłączny od dotychczasowych występów owych licznych artystów-amatorów, którzy w nowym konserwatorium będą mogli korzystać ze wskazówek doświadczonych specjalistów, gdyż na liście profesorów figurują takie nazwiska, jak znanego pianisty, Raula Pugno, skrzypka Capet'a, artystek Komedyi Francuzkiej Kolb i Barretta-Worms, artystki opery paryzkiej Héglon i t. d. Ogólny kierunek nad studiami dramatycznymi w nowym konserwatorium objęła baronowa de Bourgoing, innymi słowy dawna gwiazda „Komedyi,” Zuzanna Reichemberg, — komitet honorowy zaś składają: Wiktoryn Sardou, Saint-Saëns i kompozytor Fauré.

Toż samo, wymienione już pismo postanowiło nie tylko zająć się sprawą artystycznego wychowania posażnych jedynaczek (bo, rzecz prosta, opłata w konserwatorium będzie bardzo wygórowana), ale i dowieść świata, że też jedynaczki, prócz zachęcających posagów, posiadają urodę, która zaćmić może nawet piękność rysów panny Margaret Frey, świeżo uznanej drogą konkursu za najpiękniejszą z pośród Amerykanek. Za oceanem konkurs organizowało kółko najpoważniejszych dzienników tamtejszych, rzucając wyzwanie światu całemu. Rękawicę podjęła „Femina,” urządzając z kolei konkurs we Francji i zachęcając do akcji w tym kierunku w innych krajach. Wezwanie sympatycznie zostało przyjęte w Londynie przez „Daily Mirror,” a w innych stolicach redakcje tamtejszych czasopism krzątają się, aby tylko zawstydzić dumnych yankesów.

Zanim będziemy mogli donieść czytelnikom „Bluszczu” o rezultacie „patriotycznej mani-

festacji,” za jaką „Femina” pragnęłaby uważać wspomniany konkurs, musimy podzielić się inną, stokroć poważniejszą i sympatyczniejszą wiadomością z dziedziny spraw kobiecych. Wkrótce mianowicie, w niewielkim oddaleniu od Paryża, w Saint-Germer de Fly, otwarte zostanie schronienie dla pracownic igły, które znajdują tam kilkotygodniowy wypoczynek i wzmocnienie po niezdrowych warunkach paryzkich pracowni i mansard. Schronienie to otwiera istniejące w tym celu towarzystwo „l'Oeuvre du repos,” które utrzymuje już podobną instytucję w Beaumesnil, posiadłości swego prezesa, margrabiego Costa de Beauregard. Pierwsze schronienie obliczone jest na 40 zaledwie miejsc; Saint Germer de Fly będzie mogło pomieścić prawie trzy razy tyle „midinetek,” w wieku od 14 do 25 lat.

Inna instytucja opiekująca się również młodemi szwaczkami, „Oeuvre de Mimi Pinson,” znana zapewne czytelnikom „Bluszczu,” przynajmniej z nazwy, przypominała się w tych dniach publiczności, urządzając wielki festyn na „Wystawie Książki.” Wystawa ta otwarta od Czerwca w „Grand Palais” des Champs Elysées pod nazwą „Exposition Internationale du Livre,” nie zdołała wzbudzić większego zainteresowania, gdyż przedewszystkiem ma na celu reklamę. Właściwy dział książki pod względem technicznym i artystycznym prawie nie został uwzględniony. Z nowych zaś wynalazków, a przynajmniej nie znanych zdaje się u nas, szczególną uwagę zwracało parę systemów t. zw. „aerografu,” t. j. przyrządu rozpylającego farbę. „Aerograf” daje się zastosować przy malowaniu na papierze, płótnie, materjach, porcelanie i t. d., wymaga jednak znacznej wprawy i znajomości rysunku. Wielkie natomiast usługi mógłby oddawać osobom, które zajmują się malowaniem pocztówek. Za pomocą nowego przyrządu i odpowiednich patronów można w przeciągu minuty wykończyć kilkanaście pocztówek z widoczkami jedno lub kilkobarwnymi.

Szereg innych wystaw rozpoczął „Salon jesienny,” nie mogący jednakże poszczycić się w tym roku choć jedną pracą, wychodzącą po nad miarę zwykłej poprawności. Nierównie ciekawiej przedstawia się urządzona przy „Salonie” wystawa sztuki belgijskiej, licząca zaledwie do dwustu obrazów i rzeźb, ale umiejętnie charakteryzująca dążenia i rezultaty artystów belgijskich w ciągu ostatnich lat 50-iu.

Ruch wydawniczy nie zbudził się jeszcze z ospałości letnich miesięcy. Z pośród nowości, które dotychczas ukazały się, zanotować należy 5-ty tom „Pamiętników” pani Adam. Do ciekawej tej książki chcielibyśmy jeszcze powrócić w jednym z następnych listów.

M. J. L.

Nowa Szkoła handlowa.

Przed rokiem, w jesieni 1906-go, powstały w Warszawie kursy handlowe „The Gracian Pyrek Business School.” Szkoła ta postawiła sobie za zadanie uprzystępnienie szerokiemu ogółowi nabycie przedmiotów specjalnych: buchalteryi i matematyki handlowej, pisania na maszynie, stenografii i t. p. potrzebnych do pracy w handlu i biurowości, oraz korespondencyi i języków obcych, włoskiego, francuzkiego, angielskiego i niemieckiego.

Dlaczego nie polepszyć sobie bytu, zdobyciem wyższego wykształcenia i odpowiednich kwalifikacji? — mówi p. Pyrek w swym programie szkolnym, na brak pracy w naszym kraju, pomimo obecnych ciężkich warunków, narzekać nie można, za to na każdym kroku odczuwać się daje brak zdolnych i wykwalifi-

fikowanych pracowników, zwłaszcza w zawodzie handlowym.

Szkoła prowadzona jest z dużą energią i ruchliwością, rozkład godzin i przedmiotów jest opracowany tak, aby dać możność uczęszczania na nie ludziom pracującym, tym, którzy krótki tylko czas wśród dnia mogą naucę poświęcić; języki, wykładane systemem Berlitz'a, każdy przez profesora danej narodowości, doskonale dają rezultaty — po kilku lekcjach uczniowie poprawnym akcentem zamieniają małe zdania i prowadzą łatwą rozmowę. Uczniom, którzy chcą zapisać się na buchalteryę lub matematykę handlową, niemając odpowiedniego przygotowania, udzielane są za niewielką dopłatą lekcye arytmetyki.

Szkoła pracuje z ogromnym pożytkiem i przynosi dużą korzyść w społeczeństwie naszym, gdzie tak mało jeszcze myśli się o kształceniu handlowców w ogóle, a o wykształceniu kobiet do zawodów handlowych w szczególności, istotnie szkoła p. Pyrka jest bardzo odpowiednim dla kobiet zakładem naukowym. Choć dużo już czasu upłynęło od tragicznej „Marty” Orzeszkowej, znajdują się u nas, niestety, i dziś jeszcze kobiety nagłem niepowodzeniem losu zmuszone do gwałtownego szukania pracy a nie mające do niej przygotowania. Otóż te ostatnie znaleźć mogą w wzmiankowanym zakładzie, na warunkach korzystnych (opłata jest stosunkowo niewielka, 20—30-tu rubli za kurs każdego przedmiotu), z dużym ustępstwem, przy wyborze kilku przedmiotów od razu, wykład metodą skróconą, skoncentrowaną; kursy są półroczne, lecz z powodu ciągle napływających uczniów, w połowie półrocza pierwszego otwierają się po dwa i trzy razy nowe komplety, jednym słowem, możność zdobycia pewnego stopnia fachowego wykształcenia, w krótkim czasie i na przystępnych warunkach.

W ubiegłym roku szkolnym otrzymało patenty osmdziesięciu przeszło słuchaczy i słuchaczek, na rok bieżący program szkolny będzie jeszcze rozszerzony i, oprócz dotychczas wykładanych przedmiotów: buchalteryi, matematyki, stenografii, korespondenay, języków obcych, oraz pisania na maszynie, przybywają wykłady prawa, ekonomii politycznej, chemii, towaroznawstwa, geografii handlowej i historii handlu.

Zaznaczyć pragnę raz jeszcze, iż szkoła zasługuje na szczególną uwagę kobiet, pragnących pracować w zawodzie handlowo-biurowym.

N. J.

Ze szkoły p. Jadwigi Cichińskiej.

Pierwsza u nas szkoła koedukacyjna p. Jadwigi Cichińskiej rozpoczęła już lekcye. W wielkim, nowozbudowanym domu przy zbiegu ulic: Złotej, Zgody i Boduena, na czwartym piętrze, znajduje się lokal Szkoły. Sale duże, doskonale wentylowane, przepełnione słońcem, ściany w około ubrane reprodukcjami arcydzieł rzeźby i kwiatami, pośrodku ławki i pulpity nowego systemu, warsztaty, przybory do slōjdu. Dzieci jest już przeszło 70, — wykład każdego przedmiotu trwa najdłużej 35 minut, poczem zamieniony jest pracą ręczną lub gimnastyką. Od 12—1-iej wielka pauza — uczniowie spędzają wtedy czas na dużym placu, naprzeciwko domu, i tam, według własnego wyboru, bawią się, kopią zagonki, albo gimnastykują się na świeżem powietrzu. Zajęcia trwają ogółem od 9-iej do 3-ciej; oprócz sal klasowych znajduje się w lokalu do użytku dzieci łazienka, a obok niej gabinet lekarza, gdzie, w miarę potrzeby, udzielają porad członkowie szkolnej komisji lekarskiej.

— Od jednego ze słuchaczy Uniwersytetu fryburskiego otrzymaliśmy list następujący z prośbą o umieszczenie:

Maturzyści polskich szkół we Fryburgu szwajcarskim.

W dniu 4-ym Października odbyło się posiedzenie komisji fryburskiej dyrekcji naukowej, w celu ostatecznego rozpatrzenia programów szkół polskich, nadesłanych w poważnej ilości.

Po wielogodzinnych i wyczerpujących debatach, postanowiono uznać matury poniżej wyszczególnionych dwunastu szkół średnich i przyjmować wychowalców tych szkół w poczet rzeczywistych studentów uniwersytetu fryburskiego, bez żadnego ograniczenia ich praw.

Na wszystkie fakultety przyjmowani będą maturzyści szkół: Górskiego, Chrzanowskiego, imienia Staszica w Lublinie, Szkoły w Płocku i Częstochowie.

Bez egzaminu z łaciny na fakultet matematyczno-przyrodniczy i na wydział handlowy przy fakultecie prawnym, a na wszystkie inne z dodatkowym egzaminem z łaciny (składanym w ciągu 3-ich semestrów) przyjmowani będą maturzyści szkół: Jeżewskiego, Rontalera (z wydziału handlowego), Konopczyńskiego; także ze szkół handlowych w Radomiu, Włocławku, Kaliszu i Pabianicach.

Do wszystkich szkół, które nadesłały podania, dyrekcja fryburska prześle oficjalną korespondencję.

Na zjeździe rektorów wszystkich uniwersytetów szwajcarskich, przedstawiciel uniwersytetu Fryburskiego prawdopodobnie wnieśli projekt, aby inne uniwersytety przyjęły tę co Fryburg zasadę.

Dla sprawy będzie pożyteczne, jeśli przełożeni szkół polskich od siebie rozesła do dyrekcji naukowych kantonów Bern, Zurych, Genewa, Lozanna i Bazylą i równocześnie do senatów tamtejszych uniwersytetów jednobrzmiące podania z prośbą o zaliczenie w poczet rzeczywistych słuchaczy maturzystów polskich, — a przy podaniu niechaj załączają kopię ostatecznej rezolucji, jaką im prześle fryburska dyrekcja naukowa.

Wydział handlowy przy prawnym fakultecie uniwersytetu fryburskiego w połowie utrzymywany jest przez kanton fryburski, w połowie przez Związek kantonów szwajcarskich. Na żądanie kancelarya uniwersytetu prześle program.

Uniwersytety w Zurychu i Bernie przyjmują młodzież także i bez matur; tego rodzaju uczniom naznaczają specjalne dodatkowe, bardzo łatwe egzaminy. W Bernie egzaminy takie odbywają się dwa razy do roku. Po złożeniu tych egzaminów, wolny słuchacz zapisany zostaje jako rzeczywisty student i ostatnie dwa przesłuchane semestry są mu zaliczone. Stosuje się to do kobiet zarówno, jak i do mężczyzn.

Wobec powyższego, wszyscy, którzy uczę się pragną, bez względu czy mają, czy nie mają matury (a mają środki na wyjazd i utrzymanie w Szwajcaryi), mogą się dostać na wszechnice szwajcarskie z większym lub mniejszym utrudnieniem. Bardzo szczęśliwie się składa, gdyż dzięki temu może nie wszyscy będą się cisnęli do Fryburga.

W imieniu kolegów, którzy naprawdę chcą się uczyć, zwracam się do przyszłych kolegów bardziej niespokojnego ducha, głównie zaś do politykomanów i wszelkiego rodzaju agitatorów, aby inne uniwersytety dla siebie obierali, w większych miastach Szwajcaryi. Fryburg jest małą miasteczką; każdy zatarg, nawet wybryk jednostki gromkiem echem oburzenia odbija się wśród spokojnych mieszkańców tego parafialnego miasteczka.

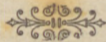
„Przegląd Społeczny,“ omawiając korespondencję moją o uniwersytecie fryburskim, niesłusznie posądza o umyślne zamilezanie o katolickim charakterze uniwersytetu i pomawia mnie o chęć prowadzenia w ten sposób agitacji katolickiej.

Zarzut niesłuszny. Owszem podkreślam to, że nie tylko uniwersytet, ale cała ludność kantonu jest szczerze katolicka. Podkreślam to tem snadniej, aby młodzież innych przekonań, jeśli jest bardzo wojowniczo przeciw katolicyzmowi nastrojona, a żadna jest walki, — aby taka młodzież tu nie przyjeżdżała, bo... przeszkadza się uczyć. Ludzi mniej krewkiego temperamentu uspokoić mogą, że tolerowane tu są najzupełniej wszystkie przekonania religijne i społeczne jednostek, o ile te jednostki są również tolerancyjnie usposobione. Zapisy do uniwersytetu fryburskiego zaczynają się w dniu 21-ym Października i trwają do 5-go Listopada. Po tym terminie przyjmowani będą studenci za specjalnem uwzględnieniem powodów opóźnienia. Do zapisu wymagana jest matura i paszport. Wykłady rozpoczynają się 21-go Października. W Bernie zapisy trwają od 15-go Października do 15-go Listopada. Wykłady rozpoczynają się 22-go Października. Z powodu liczniejszego niż zwykle napływu młodzieży do Fryburga, koszty utrzymania podnoszą się. Niżej 100-u franków miesięcznie trudno się będzie utrzymać. O zarobek jakkolwiek jest bardzo trudno; stanowczo nie można nań liczyć.

Fryburg, 4-go Października, 1907-go roku.

Kazimierz Jeżewski.

W kancelaryi W. Górskiego, Warszawa, Hortensya 2, zainteresowani, za opłatą 25-ciu kop., na rzecz Ochrony imienia Studentów warszawskich na Nowo-Czystem, mogą otrzymać szczegółowy program wykładów na uniwersytecie fryburskim na semestr zimowy 1907/1908 z dokładną listą wszystkich profesorów i regulaminem.



Chwila bieżąca.



— Według zdania pism rosyjskich, w składzie trzeciej Dumy większość, bo dwie trzecie ogólnej liczby stanowią będzie opozycja.

— W Warszawie wielu fabrykantów i właścicieli sklepów otrzymuje listy bezimienne, w których pod groźbą śmierci wysyłają owe listy, żądają pieniędzy „poste restante.“ Na zażalenie kilku osób, policja aresztowała buchaltera pocztowego, pragnącego w taki sposób zaopatrzyć się w gotówkę.

— Ministeryum spraw wewnętrznych w całym szeregu posiedzeń rozpatrywało projekt samorządu gminnego w guberniach Królestwa Polskiego, projekty przesłane zostały do generała-gubernatora Skalona.

— Na mocy postanowienia generała-gubernatora warszawskiego redakcja „Gońca“ skazana została na zapłatę 500 rubli kary, a „Gazeta Codzienna“ na rubli 100.

— Ks. Menszykow na szpaltach „Nowego Wremieni“ oświadcza się za koniecznością nadania Polsce autonomii.

— W Petersburgu bawili w przejeździe generałowie: francuzki, Delagney, oraz angielski French. Zaniepokoiło to korespondentów pism niemieckich, którzy podejrzewają porozumienie się w celu zawarcia angielsko-francuzko-rosyjskiej konwencji wojskowej.

— Dla wyodrębnienia Chelmszczyzny minister spraw wewnętrznych opracował projekt i przesłał go do oceny generała-gubernatorowi warszawskiemu, w celu utworzenia specjalnej gubernii Chelmskiej.

— Blok pomiędzy duchownymi prawosławnymi a Polakami utworzony aa Wołyniu, został obecnie skasowany

— We wszystkich miastach gubernii Wileńskiej wyborcami z kuryi miejskiej zostali wybrani żydzi.

— W Odessie, po przewiezieniu zwłok zabitego pomocnika komisarza Delfińskiego, porozbijano szyby w różnych częściach miasta, przyczem pokaleczono 15 osób.

— W sprawie niżegorodzkiej drużyny bojowej skazano w Moskwie jednego na 4 lata, drugiego na 2 lata i 8 miesięcy katorgi, trzech na więzienie w twierdzy, jedenastu na różne terminy rot aresztanckich, dwóch tylko uniewinniono.

— „N. Wiener Tag.“ pisze, iż jest zawarte przymierze pomiędzy Rosją a Austro-Węgrami. Porta powinna zdecydować się na ustępstwa. Minister rosyjski Kowalski, i austriacki baron Aarendhal, są wykonawcami zastosowania praw ludzkości, żądając przerwania nieludzkich czynów w Macedonii.

— W Orenburgu aresztowano sześciu uczestników zbrojnego napadu na magazyn Wolfsona, przyczem zrabowano 8,000 rubli.

— „Dziennik poznański“ donosi, iż bezprawia i gwałty władz pruskich znalazły poparcie przez rozporządzenie najwyższego senatu, rozkazujące przeciwdziałać uporowi dzieci, niechających uczyć się religii w języku niemieckim.

— Znany socjalista niemiecki, adwokat Liebknecht, któremu wytoczono proces o zdradę stanu, za napisanie broszury o antimilitaryzmie, został skazany przez sąd Rzeszy niemieckiej w Lipsku na półtora roku twierdzy.

— We Włoszech wrzenie przyjmuje coraz większe rozmiary. W Medyolanie ogłoszono strejk powszechny, tramwaje nie kursują po mieście. Dla wyrażenia robotnikom medyolańskim solidarności, w Bolonii ogłoszono również strejk 24-ro-godzinny.

— Dnia 12-go b. m. rozstał się ze światem jeden z najstarszych księgarzy warszawskich, redaktor „Strzechy Rodzinnej“ i „Polskiej Wszechnicy Ludowej,“ właściciel drukarni, ś. p. *Edward Koliński.*

— Ś. p. *August Kokeli,* sędziwy przedstawiciel palestry naszej, zmarł w dniu 29-ym z. m. zagranicą.

— Sędziwa i szanowna matrona polska, *hr. Adamowa Potocka,* zmarła w Krzeszowicach pod Krakowem.

— Słynny pianista *Alfred Reisenauer,* zakończył nagle życie w dniu 3-im b. m.



Od Administracji.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszczu,“ którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów „Książnicy,“ dołącza się tom 13-ty („Książnicy“ 15-ty), zawierający E. T. A. Hofmana „Złoty garnek.“

Treść numeru:

Chciwość czytania, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Do B. M. (wiersz), przez T. Prażmowską. — Małżeństwo, referat Konstancji Łozińskiej. — Tworczność kobieca, przez d-ra Tadeusza Konczyńskiego (z portretem Eugenii Żmijewskiej). — Ellen Key w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego, oraz reformy wychowawczej, zarys syntetyczny, przez Maryę Czesławę Przeworską (ciąg dalszy). — Zapożno, nowela, przez Darwida. — Praca kulturalna kobiet rosyjskich, przez J. W. (dokończenie). — Kilka uwag w powodu odwiedzania w Piasecznie Przytułku dla dziewcząt upadłych, przez d-rową Kosmowską. — Z listów do „Bluszcza:“ przez M. J. L. — Nowa Szkoła handlowa, przez N. J. — Ze szkoły p. Jadwigi Cichińskiej. — Odezwa studentów uniwersytetu fryburskiego. — Chwila bieżąca. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami, oraz Tablica krojów.

Do dzisiejszego numeru dla wszystkich prenumeratorów dołącza się zawiadomienie o środku odżywcym „Sanatogen“ Bauera i S-ki. Główne przedstawicielstwo na Królestwo Polskie S. Karczewski. Warszawa, Nowo-Senatorska, 4.